

To tylko
przyjaźń,
Panie
Sąsiedzie

Ul. 10-go Maja

Tylko u nas: Mała uliczka w Głogowie. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Co sprawiło, że większość z nich żyje jak wielka rodzina? W czym tkwi fenomen ulicy 10-go Maja w Głogowie



RADOMSKIE

Echo
Dnia

Piątek
10.10.2025

Nr 236 (14 906)

www.echodnia.eu
Cena 6,50 zł (w tym 8% VAT)

Gramy dla Kamila. Turniej oraz piknik dla żołnierza Wojsk Obrony Terytorialnej **strona 6**



FOT. BISKUP MAREK SOLARCZYK/FACEBOOK

Ponad tysiąc trzysta osób na Pielgrzymce Maturzystów Diecezji Radomskiej. Na Jasnej Górze był też biskup Marek Solarczyk **strona 7**

Na ulicy Wolanowskiej w Radomiu kładą ostatnią warstwę asfaltu. Na horyzoncie widać finisz **strona 4**

Wydarzenia

Browar Warka z medalem Pro Masovia za zasługi dla Mazowsza **strona 6**

Nr ISSN 0137-902X

Nr indeksu 350-087



ARTUR ŻMIJEWSKI: DOBRZE CZUJĘ SIĘ NA SCENIE Z LUDŹMI, KTÓRYCH LUBIĘ I DOBRZE ZNAM

Aktorstwo i śpiewanie od początku kariery



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wszyscy go znamy jako księdza Mateusza z telewizyjnego serialu. Teraz debiutuje jako wokalista, prezentując płytę „Po miłości kres” z pieśniami Leonarda Cohena. Nam Artur Żmijewski opowiada, jak aktorstwo i śpiewanie przeplatało się w jego życiu od początku kariery **strony 18-19**

TYDZIEŃ Z ECHEM DNIA

SOBOTA
● WEEKEND Z RODZINĄPONIEDZIAŁEK
● DODATEK SPORTOWYWTOREK
● PULS BIZNESUŚRODA
● MAGAZYN ZDROWIECZWARTEK
● POD PARAGRAFEMPIĄTEK
● PULS POLSKI

ZAMÓW PRENUMERATĘ: telefon: 41 375 72 30, prenumerata@echodnia.eu, bok.prenumerata@polskapress.pl

Janusz Michalczyk

KTO SIĘ BOI
TILLY NORWOOD?

Zbliża się moment przesilenia, będziemy musieli przejść przez „wieki ciemne”, bo przestajemy dostrzegać, co jest prawdą. Wbrew pozorom nie są to słowa jakiegoś jasnowidza zaprawionego w straszaniu publiczności, lecz opinia trzeźwego racjonalisty, zajmującego się fizyką kwantową prof. Jana Chwedeńczuka. Co nim tak wstrząsnęło? W audycji filozofa Tomasza Stawiszyńskiego (You Tube) profesor mówił o kilkuminutowym filmiku, którego bohaterką jest atrakcyjna aktorka... nieistniejąca.

Holenderska producentka i komiczka Eline Van der Velden stworzyła postać Tilly Norwood, która jest określana jako „pierwsza aktorka AI”, czyli wygenerowana przez sztuczną inteligencję. Na filmiku do złudzenia przypomina prawdziwą osobę i byłaby to tylko ciekawostka, gdyby nie zapewnienia Eline, że Tilly jest w stanie zagrać w reklamie lub pełnomocnym filmie i nie będzie gorsza od aktorów. Holenderka zaproponowała już współpracę agentom ze świata filmu i telewizji, czym wywołała panikę w Hollywood.

U nas też mamy pierwsze takie próby. Realizatorzy serialu „M jak miłość” dzięki AI wygenerowali głos Witolda Pyrkosza i pokazali odmłodzonych Mostowiaków, co spotkało się z mieszkanymi reakcjami widzów. Już rok temu wykreowana przez AI „dziennikarka” OFF Radia Kraków przeprowadziła wywiad „na żywo” z nieżyjącą od 2012 roku noblistką Wisławą Szymborską.

Oczywiście, refleksje Chwedeńczuka dotyczą poważniejszych zagadnień. Twierdzi on, że jeśli zaczniemy na masową skalę oglądać w internecie i telewizji nieprawdziwych ludzi, albo i prawdziwych, lecz w nieprawdziwych sytuacjach, nie mając przy tym żadnego sposobu weryfikacji, to nasz świat wywróci się do góry nogami. To, co bawi jako forma rozrywki, może przerażać zastosowane do manipulowania nastrojami i poglądami. Do czego dojdziemy, jeżeli utraci sens pojęcie prawdy, fundament naszej cywilizacji wymyślony przez starożytnych Greków?

Cóż, nie sądzę, żeby w sukurs przyszła nam inteligencja, rzeczywista lub sztuczna. Spodziewam się raczej triumfalnego powrotu i rozwinięcia idei przekonujących, że świat jest tylko ułudą lub snem wariata. A kiedy rozum okaże się bezradny, może schronieniem dla prawdy okazać się nasze uczucia?

Zmarł Piotr Szpak. Żegnaj
przyjacielu! Przegląd tygodniaSylvia Bławat
Region

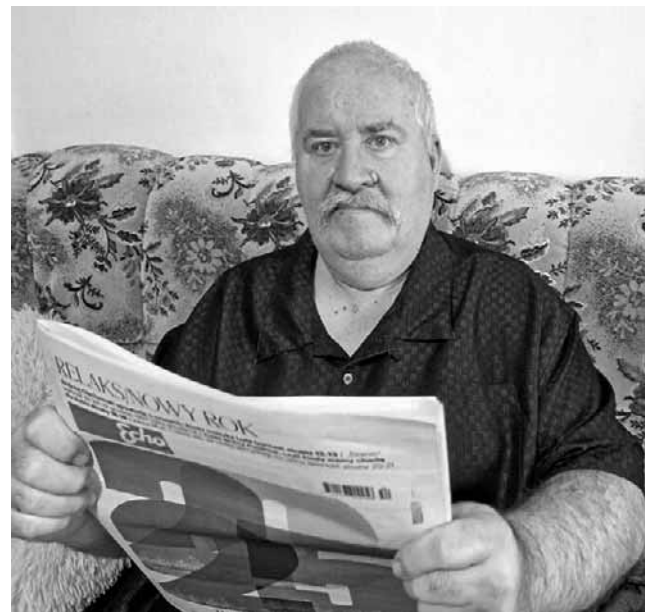
Piotr Szpak, pochodzący z Radomia, wieloletni dziennikarz Echa Dnia, zmarł w piątek, 3 października. To smutna, ale jedna z ważniejszych wiadomości minionego tygodnia w regionie.

Pożegnanie

W wieku 62 lat w piątek, 3 października w Tarnobrzegu zmarł Piotr Szpak, wieloletni dziennikarz Echa Dnia, pasjonat sportu. Był niezwykle serdecznym człowiekiem. Pozostawił żonę, osierocił troje dorosłych dzieci. Piotr pochodził z Radomia. Początkowo zawodowo związany był z Polskimi Kolejami Państwowymi. Był też arbitrem piłkarskim, a na co dzień kibicował swojej ukochanej drużynie, Broni Radom. Potem mieszkał w Skarżysku-Kamiennej i wreszcie osiadł w Tarnobrzegu. Przez dwie dekady relacjonował największe i te najmniejsze lokalne wydarzenia sportowe. Nie ograniczał się zresztą jedynie do tej tematyki. Kiedy kilka lat temu podupadł na zdrowiu i musiał wtedy zrezygnować z pracy zawodowej. Pogrzeb odbył się we wtorek 7 października. Żegnaj Przyjacielu!

Srebro

Żołnierze 6 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej z siedzibą w Radomiu stanęli



W wieku 62 lat w Tarnobrzegu zmarł Piotr Szpak, wieloletni dziennikarz Echa Dnia.

na podium podczas tegorocznych zawodów użyteczno-bojowych Wojsk Obrony Terytorialnej w Ustce plasując się na drugiej pozycji. Drużynę 6 Mazowieckiej od złota dzieliły... zaledwie dwa punkty.

Kebab

W Wolanowie na Mazowszu pojawił się w sobotę prezydent Polski Karol Nawrocki. Przyjechał, by zgodnie ze złożoną obietnicą zjeść kebab z uczniami miejscowej szkoły. Pojawił się też na meczu A klasy między Jaguarem Wolanów a UKS Młodzik 18 Radom.

Komendant

Decyzją Departamentu Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej nowym komendantem Ośrodka Reprezentacyjnego Wojsk Obrony Terytorialnej został pułkownik Włodzimierz Krakowiak, który zastąpił dotychczasowego komendanta pułkownika Łukasza Baranowskiego.

Pożoga

Wielki pożar wybuchł w nocy w sobotę, 4 października Sulgustowie w gminie Kłwów, w powiecie przyskim. Zapaliła się stodoła,

a ogień pochłonął też zgromadzone zboże, ciągnik, kombajn, maszyny rolnicze. Strażacy walczyli z ogniem wiele godzin. Straty są olbrzymie, szacowane na 300 tysięcy złotych.

Dramat

W jednym z puławskich domów znaleziono ciała trzech osób, w tym 34-letniej radomianki. Jak ustaliła policja, zastręły się gazem.

Mistrzyni

Weronika Huptas, mieszkanka gminy Skarżysko Kościelne, odniosła wielki sukces podczas World Jigsaw Puzzle Championship 2025, w Valladolid w Hiszpanii. W zawodach wzięli udział najlepsi zawodnicy z całego świata, a najlepsza z nich okazała się Polka.

Zabójstwo

Nawet dożywocie może grozić 25-latkowi podejrzanemu o zabójstwo, do jakiego doszło w piątkowy wieczór, 3 października w mieszkaniu w Ostrowcu Świętokrzyskim. Życie stracił 26-latek. 25-latek został aresztowany.

Śmierć w sadzie

Tragiczny wypadek podczas pracy w sadzie jabłoniowym w Święcicy w powiecie sandomierskim. Po mężczyźnie przejechała platforma sadownicza. Traktor prowadził trzeźwy 56-latek. Mimo reanimacji 41-latka nie udało się uratować. ©

Pogoda w regionie

Dzisiaj

Dzień
14°C
Noc
10°CBarometr
1020 hPaWiatr
płn.-zach. 28 km/h
Biomet
niekorzystny/obojętny

Sobota

Dzień
14°C
Noc
10°C

Niedziela

Dzień
12°C
Noc
4°C

Poniedziałek

Dzień
11°C
Noc
3°C

10 PAŹDZIERNIKA 2025

Dziś 283. dzień roku
Do sylwestra pozostały
82 dni.

Wschód słońca

o godzinie 6.53, zachód
o godzinie 17.52.

Dzień będzie trwać 10 godzin i 59 minut. Jest krótszy od najdłuższego w 2025 roku dnia (21 czerwca) o 5 godzin i 48 minut i dłuższy od najkrótszego w roku (21 grudnia) o 3 godziny i 17 minut.

Imieniny dziś obchodzą:
Daniel, Dionizy, Franciszek,
Leon, Paulina, Przemysław.

KALENDARIUM

1966

Komisja Planowania Gospodarczego w Kielcach zaopiniowała budowę Elektrowni Kozienice w Świerżach Górnych.

1993

Ksiądz biskup Edward Matuski przewodniczył uroczystościom jubileuszowym parafii pod wezwaniem świętej Urszuli Ledóchowskiej przy ulicy Szczecińskiej w Radomiu.



FOT. PSP14.RADOM.PL

2001

Otwarli budynek gimnazjalny szkoły integracyjnej imienia Jana Pawła II w Radomiu przy ulicy Wierzbickiej (na zdjęciu). Obecnie Szkoła Podstawowa numer 14.

2019

Oddano do użytku dwie łącznice komunikujące wiadukt w ciągu ulicy Słowackiego w Radomiu z budowaną trasą N-S.

2019

Odbyło się uroczyste przecięcie wstęgi przy pierwszym kozienickim muralu na północnej ścianie bloku przy ulicy Marii Skłodowskiej-Curie 2 w Kozienicach.

Uwaga: zachmurzenie duże, możliwe przelotne opady deszczu

Mazowsze >> dla zdrowia >

MAZOWSZE



ODDANYCH MEDYKÓW

**SEJMIK WOJEWÓDZTWA POMAGA
W ZAKUPIE SPRZĘTU MEDYCZNEGO**

więcej o programach wsparcia na mazovia.pl

BORKOWICE

Hubertus po raz pierwszy
W sobotę, 11 października, na Krakowej Górze w Borkowicach odbędzie się I Hubertus Jeździecki. Początek o godzinie 11. Będzie gonitwa za lisem, ognisko i wiele innych atrakcji. **SOK**

WIENIAWA

Koncert operetkowy
W sobotę 11 października w Gminnym Centrum Kultury i Sportu w Wieniawie odbędzie się spotkanie z Roześmianą Operetką. Wystąpi zespół Vocalis. Początek o godzinie 17. Wstęp wolny. **SOK**



FOT. ARCHIWUM

DZWOŃ I PISZ

Dziennikarz dyżurny
Dziś na państwa telefony czeka **Janusz Petz**. Numer telefonu interwencyjnego „Echa Dnia”: 697 770 064. Można też zgłosić sprawę mailem na adres: **radom@echodnia.eu**

Przebudowa Wolanowskiej w Radomiu. Ostatnie prace

Izabela Kozakiewicz
Radom

- Przebudowa ulicy Wolanowskiej w Radomiu jest już na finiszu - słyszymy w Miejskim Zarządzie Dróg i Komunikacji w Radomiu.

Postanowiliśmy sprawdzić, czy zniecierpliwieni kierowcy rzeczywiście w najbliższym czasie pojedą tą drogą.

To już ponad rok, od kiedy na ulicy Wolanowskiej w Radomiu trwają prace budowlane. Roboty objęły miejski odcinek od skrzyżowania z Kielecką do ulicy NSZZ Solidarność oraz odcinek krajowy aż do granic miasta. Przebudowa była gruntowna, wymienione zostały wszelkie instalacje, jest nowa podbudowa i właśnie kończy się układanie ostatniej warstwy asfaltu. W środę 8 października na drodze była jeszcze układana masa bitumiczna i jeżdżyły walce.

Trwają jeszcze roboty na poboczach, zostały wybudowane chodniki i ścieżki rowerowe. Ekipy pracują przy zjazdach



FOT. TADEUSZ KŁOCEK

Na ulicy Wolanowskiej w Radomiu trwa układanie ostatniej warstwy asfaltu, tak zwanej warstwy ścieralnej.

do posesji i wjazdach na boczne uliczki. Pozostała też oczywiście wymalowanie oznakowania, ustawienie znaków drogowych, miejscami jest jeszcze układana kostka.

Wykonawca ma jeszcze ponad miesiąc na wykonanie objętych kontraktem robót.

- Zakończenie prac zgodnie z umową jest zaplanowane na 23 października - słyszymy

w Miejskim Zarządzie Dróg i Komunikacji w Radomiu.

Na razie nie ma mowy o wydłużeniu terminu. Jednak do oficjalnego oddania ulicy Wolanowskiej do użytku będą musiały się odbyć odbiory techniczne.

Przypomnijmy, ulica Wolanowska na całej długości ma dwa pasy ruchu o szerokości 3,5 metra. Na odcinku miejskim,

po jednej stronie jezdni jest chodnik, natomiast po drugiej chodnik i ścieżka rowerowa. Z kolei na odcinku krajowym, po obu stronach drogi są ciągi pieszo-rowerowe o szerokości 3 metrów. Na całej długości drogi wybudowano zatoki autobusowe i oświetlenie. Po zakończeniu przebudowy to będzie 5 kilometrów zupełnie nowej, bezpiecznej i wygodnej drogi z pełną infrastrukturą, zarówno dla pieszych, jak i dla rowerzystów.

W ramach tego samego zamówienia wykonawca prac, firma Strabag przebudowała skrzyżowanie ulic Maratońskiej i Dębowej na radomskich Borkach. Jest tam teraz sygnalizacja świetlna i pasy do skrętów. Oba zadania są prowadzone pod wspólnym tytułem - usprawnienia dojazdu do radomskiego lotniska.

Przebudowa ulicy Wolanowskiej w Radomiu oraz skrzyżowania na Borkach to w sumie koszt 58 milionów 330 tysięcy złotych. Miasto wykorzystuje dotację z rządowego programu Polski Ład. ©©

KRÓTKO

RADOM

Kilka lat ukrywał się za granicą

Policjanci z Wydziału Kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Radomiu zatrzymali mężczyznę, który chciał uniknąć odpowiedzialności za popełnione przestępstwa i od kilku lat ukrywał się za granicą. Był poszukiwany za przestępstwa narkotykowe. Gdy wrócił do kraju został zatrzymany i trafił do aresztu śledczego. 39-letni mieszkaniec Radomia od jakiegoś czasu ukrywał się przed organami ścigania. Przebywał, między innymi, za granicą i od 2021 roku poszukiwany był na podstawie listu

gończego wydanego przez Sąd Okręgowy w Radomiu za przestępstwa narkotykowe. Dzięki skutecznej pracy operacyjnej radomscy kryminalni ustalili, że mężczyzna wrócił do kraju z Holandii i we wtorek, 7 października zatrzymali mężczyznę na terenie Radomia. Został przewieziony do aresztu, gdzie spędzi zaległą karę 5 lat i 6 miesięcy. Działania radomskich policjantów pokazują, że nawet po wielu latach osoby ukrywające się przed wymiarem sprawiedliwości nie mogą czuć się bezkarnie. PC

RADOM

Kolejna deportacja z lotniska

Jedenastą operację powrotową zorganizowali w tym roku funkcjonariusze z Zarządu do spraw Cudzoziemców Komendy Głównej Straży Granicznej we współpracy z Fronteksem, Europejską Agencją Straży Granicznej i Przybrzeżnej. Samolotem, który wystartował z Radomia 7 października, Polskę przymusowo opuściło 9 Pakistańczyków i 10 Gruzinów. Głównym powodem wydania decyzji powrotowych wobec obywateli Gruzji były względy bezpieczeństwa i ochrony porządku publicznego. Dziewięciu posiadało wyroki za przestępstwa popełnione w Polsce. W przypadku Pakistańczyków był to brak dokumentów uprawniających do pobytu w Polsce i przekroczenie granicy państwowej wbrew obowiązującym przepisom na odcinku białoruskim. Kolejna w tym roku operacja powrotowa została zrealizowana z wykorzystaniem lotu czarterowego. Eskortę cudzoziemców stanowili funkcjonariusze pionu zabezpieczenia działań oraz innych jednostek Straży Granicznej. Jak informuje Straż Graniczna, od początku roku Polskę przymusowo i dobrowolnie opuściło ponad 7 tysięcy cudzoziemców. PC

RADOM

Policjanci spotkali się z uczniami

Radomscy policjanci włączają się w ogólnopolską kampanię społeczną „Dzieciństwo bez Przemocy” prowadząc w szkołach i przedszkolach spotkania edukacyjno-informacyjne. Tym razem z najmłodszymi spotkali się dzielnicowi. W ramach tej kampanii dzielnicowi z Komisariatu II Policji w Radomiu oraz z Posterunku Policji w Wolanowie spotkali się z przedszkolakami i uczniami

szkoły podstawowej. Mundurowi promowali bezpieczne zachowania oraz uświadamiali dzieciom zagrożenia, jakie mogą napotkać w drodze do i ze szkoły. Zwrócili uwagę, że relacje rówieśnicze wymagają wzajemnego szacunku i tolerancji, nie ma miejsca na przemoc, hejt i nierówne traktowanie. Poruszano tematykę przemocy, jak ją rozpoznać i jej przeciwdziałać. AS

Budowa żłobka przy Piastowskiej na finiszu

Izabela Kozakiewicz
Radom

Postępują prace przy budowie nowego żłobka przy ulicy Piastowskiej na osiedlu Michałów w Radomiu. Za kilka miesięcy wszystko powinno być gotowe.

W nowej placówce będzie miejsce dla ponad 200 najmłodszych mieszkańców miasta.

Na budowie żłobka przy ulicy Piastowskiej na Michałowie w Radomiu zakończyły się prace konstrukcyjne.

Teraz czas na roboty wykończeniowe, pracują instalatorzy, czy tynkarze. Zaczęło się ocieplanie budynku i układanie nowej elewacji. Zadaniem wykonawcy będzie też zagospodarowanie terenu wokół, czyli budowa chodników, dróg dojazdowych, miejsc postojowych, czy założenie zieleńców.

- W pierwszym kwartale przyszłego roku zadanie powinno być wykonane, później zaczną się odbiory inwestycji - mówił nam Eugeniusz Kaczmarek, dyrektor

Wydziału Inwestycji Urzędu Miejskiego w Radomiu.

Jak już pisaliśmy, nowy żłobek na Michałowie to będzie obiekt z dziewięcioma salami zabaw dla dzieci połączonych z sypialniami, a także pełnym zapleczem sanitarnym i kuchennym. Będzie też przygotowany plac zabaw. W żłobku będzie miejsce dla 225 najmłodszych radomian. Budowa będzie kosztowała około 15 milionów złotych. Pieniądze w większości to dotacja z Krajowego Programu Odbudowy.

Nowy żłobek jest budowany w pobliżu dużych osiedli i terenów, gdzie już trwają, albo są planowane kolejne inwestycje mieszkaniowe. Niedaleko blok buduje między innymi miasto, będą w nim mieszkania komunalne. Teraz w Radomiu, w miejskich żłobkach jest ponad trzysta miejsc dla dzieci. To dzięki zwiększeniu liczby miejsc w placówce przy ulicy PCK oraz budowie dwóch nowych żłobków, przy ulicy Michałowskiej i ulicy Batalionów Chłopskich na Borkach. ©©

REKLAMA

0011413025

INFORMACJA Burmistrz Iłży

informuje, że na tablicy ogłoszeń w naszym urzędzie zostały wywieszone wykazy nieruchomości przeznaczonych do: sprzedaży w drodze bezprzetargowej na rzecz dotychczasowego najemcy: Iłża, os. St. Staszica - lokal mieszkalny 38,59 m² wydzierżawienia w drodze bezprzetargowej: Iłża - cz. dz. 490/3, dz. 774, dz. 2290, cz. dz. 1119/5, cz. dz. 4016 Błaziny Dolne - cz. dz. 70 Gaworzyna - cz. dz. 973 Piłatka - dz. 3823/2 Prędocin cz. dz. 587, cz. dz. 602 Wólka Jedlańska - dz. 183

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

MATERIAŁ INFORMACYJNY WODY POLSKIE

0011380135

Chroń się przed powodzią - skorzystaj z wykupów nieruchomości!

Powodzie stają się coraz poważniejszym zagrożeniem, szczególnie dla mieszkańców terenów położonych w sąsiedztwie rzek. W odpowiedzi na rosnące ryzyko, Skarb Państwa oferuje możliwość wykupu nieruchomości o wysokim zagrożeniu powodziowym (w zasięgu wody 10-letniej). To szansa na zwiększenie bezpieczeństwa i uniknięcie przyszłych strat materialnych.

Powódzie to dziś jedno z najważniejszych zagrożeń naturalnych, z jakimi mierzy się Polska. Zmiany klimatyczne, coraz intensywniejsze opady oraz urbanizacja terenów położonych w sąsiedztwie rzek sprawiają, że ryzyko wystąpienia katastrofy rośnie z roku na rok. Dlatego świadoma ocena zagrożenia i ryzyka powodziowego jest kluczowa dla skutecznej ochrony ludzi, mienia i środowiska. Tragiczne skutki przyniosła powódź z września 2024 r., która dotknęła południowo-zachodnią część kraju. W ciągu 22 dni żywioł zniszczył tysiące domów, dróg i obiektów publicznych, a straty materialne przekroczyły 13 mld zł. Poszkodowanych zostało prawie 250 tys. osób, a fala powodziowa zalała ponad 10 tys. budynków mieszkalnych oraz ponad 800 obiektów o szczególnym znaczeniu społecznym, takim jak szkoły, urzędy czy szpitale. Pod wodą znalazło się też 29 tys. hektarów upraw rolnych. Skala zniszczeń pokazała, że konieczne są nowe rozwiązania – w tym możliwość wykupu nieruchomości przez Skarb Państwa dla mieszkańców terenów szczególnie zagrożonych przez powódź.

Zasady wykupu nieruchomości na terenach zagrożonych powodzią

Wykup nieruchomości może nastąpić w dwóch przypadkach. Pierwszym z nich jest potrzeba zapewnienia swobodnego przepływu wód powodziowych. W takiej sytuacji wykup jest możliwy, jeśli położenie nieruchomości względem rzeki oraz ukształtowanie terenu wskazują, że obszar powinien być przeznaczony na cele przeciwpowodziowe. Dodatkowo, istniejąca zabudowa nie może mieć dużej wartości historycznej, artystycznej ani kulturowej, a jej usunięcie nie powinno powodować istotnych strat. Korzyści wynikające z wykupu muszą prze-



Program wykupów nieruchomości przez Wody Polskie

Wody Polskie mogą, za zgodą właściciela, wykupić nieruchomość położoną na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia powodzi jest wysokie i wynosi co najmniej 10 procent. Nieruchomość jest nabywana na rzecz Skarbu Państwa, a celem takiego działania jest zapewnienie skutecznej ochrony przeciwpowodziowej. Procedura planowania wykupów obejmuje wystąpienia Wód Polskich do gmin, na terenie których miały miejsce powodzie, z prośbą o opinię dotyczącą nieruchomości, których wykup należy rozważyć jako zasadny. Do 30 czerwca każdego roku Wody Polskie przekazują ministrowi właściwemu do spraw gospodarki wodnej zapotrzebowanie na środki finansowe na wykupy planowane w kolejnym roku. Zapotrzebowanie to uwzględnia stopień zniszczenia obiektów oraz ich wpływ na ochronę przeciwpowodziową, na przykład to, czy utrudniają przepływ wód powodziowych. Minister przekazuje zapotrzebowanie dalej - do ministra właściwego do spraw finansów, celem zabezpieczenia środków finansowych na cel przyszłych wykupów. Na realizację wykupów nieruchomości przeznaczono 800 mln złotych do 2034 r. Środki pochodzą z budżetu państwa. Głównym celem programu jest zapewnienie ochrony ludności i mienia przed powodzią poprzez umożliwienie mieszkańcom budynków zniszczonych lub uszkodzonych w wyniku powodzi zmiany miejsca zamieszkania.

wyższać koszty finansowe i społeczne. Drugim przypadkiem jest potrzeba ochrony ludności i mienia. Wykup może nastąpić, jeśli budynek został zniszczony lub uszkodzony przez powódź, a jego odbudowa lub remont są niecelowe ze względu na ryzyko ponownego zniszczenia. Decyzja o wykupie uwzględnia położenie budynku, jego stan

techniczny, otoczenie oraz liczbę mieszkańców, co może wskazywać na zasadność umożliwienia zmiany miejsca zamieszkania. W przypadku zniszczenia budynków przez powódź wykupowi mogą podlegać nieruchomości gruntowe, a także nieruchomości gruntowe i budynkowe zabudowane na cele mieszkalne oraz inne

niż mieszkalne. Do takich nieruchomości należą m.in. działki z budynkami mieszkalnymi, zgodnie z Polską Klasyfikacją Obiektów Budowlanych, z wyłączeniem budynków zamieszkania zbiorowego, a także lokale mieszkalne stanowiące odrębną własność w tych budynkach. Dodatkowo, wykup może objąć inne nieruchomości – na przykład z budyn-

kami o innym przeznaczeniu lub niezabudowane – jeśli ich pozyskanie jest konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa powodziowego, zwłaszcza gdy sąsiadują z już wykupionymi budynkami mieszkalnymi.

Jak ustalana jest cena wykupu?

Cena wykupu nieruchomości ustalana jest na podstawie wyceny rzeczoznawcy majątkowego. W przypadku ogólnym jest to wartość rynkowa nieruchomości powiększona o 20 procent. W przypadku legalnie wzniesionych zniszczonych budynków mieszkalnych uwzględnia się wartość gruntu, wartość budynków i lokali mieszkalnych według stanu z dnia poprzedzającego powódź, wartość pozostałych legalnych naniesień, takich jak garaże, również podlega wycenie, a całość oszacowanej kwoty również powiększa się o 20 procent.

Zakaz zabudowy na terenach wykupionych

Aby skutecznie chronić ludzi przed powodzią, na terenach wykupionych przez Wody Polskie obowiązują ograniczenia dotyczące zabudowy. Na tych obszarach nie wolno wznosić nowych budynków ani rozbudowywać czy odbudowywać istniejących. Zakazy te nie obowiązują w przypadku prac związanych z budową, utrzymaniem lub modernizacją wałów przeci-

powodziowych oraz innych obiektów służących ochronie przed powodzią. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba poprowadzenia przez taki teren drogi, linii energetycznej lub innego elementu infrastruktury, Wody Polskie mogą wydać zgodę na odstępstwo od zakazu zabudowy. Warunkiem jest brak możliwości poprowadzenia tej infrastruktury w innym miejscu oraz zapewnienie odpowiedniego poziomu ochrony przeciwpowodziowej.

Bezpieczna przyszłość zaczyna się dziś - skorzystaj z możliwości wykupu

Dobrowolny wykup nieruchomości przez Wody Polskie to nie tylko szansa na poprawę bezpieczeństwa powodziowego, ale także realna pomoc dla mieszkańców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji po zalaniu domów przez wody powodziowe. To rozwiązanie, które pozwala uniknąć kolejnych strat, daje możliwość rozpoczęcia życia w nowym, bezpiecznym miejscu i wspiera odbudowę lokalnych społeczności. Jeśli Twoja nieruchomość znajduje się na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, warto rozważyć udział w tym programie – to krok w stronę stabilności, bezpieczeństwa i lepszej przyszłości.

Sprawdź, czy mieszkasz na terenie zalewowym

Jeśli nie masz pewności, czy Twoje miejsce zamieszkania jest bezpieczne pod względem zagrożenia powodziowego, warto skorzystać z Hydroportalu. To narzędzie dostarcza kluczowych informacji, które wspierają podejmowanie trafnych decyzji w zakresie ochrony przed powodzią – zarówno przez osoby prywatne, jak i instytucje. Hydroportal zapewnia dostęp do map zagrożenia i map ryzyka powodziowego, opracowanych na podstawie modeli hydraulicznych oraz danych statystycznych. Mapy te przedstawiają obszary narażone na zalanie w wyniku wezbrań wód rzek, sztormów czy awarii budowli hydrotechnicznych. Uwzględniają różne scenariusze powodziowe, w tym te o prawdopodobieństwie wystąpienia średnio raz na 10, 100 lub 500 lat, a także zdarzenia ekstremalne.

Wejdź na Hydroportal
https://wody.isok.gov.pl/imap_kzgw



Browar Warka wyróżniony medalem Pro Masovia za zasługi dla Mazowsza

Izabela Kozakiewicz
Warka

Grupa Żywiec i należąca do niej Browar Warka, otrzymała Medal „Pro Masovia”.

To jedno z najwyższych wyróżnień przyznawanych przez Samorząd Województwa Mazowieckiego, a wręczono je podczas jubileuszu 50-lecia wareckiej firmy.

Podczas niedawnej gali jubileuszowej Grupa Żywiec i należąca do niej Browar Warka, otrzymała Medal Pro Masovia przyznawany przez samorząd Mazowsza za działalności w sposób szczególny przyczyniającą się do rozwoju gospodarczego, kulturalnego lub społecznego regionu. - Otrzymanie Medalu Pro Masovia to dla

nas ogromne wyróżnienie i potwierdzenie, że nasza codzienna praca, realizowana z sercem, naprawdę ma znaczenie. Jesteśmy dumni, że możemy współtworzyć rozwój Mazowsza i cieszymy się, że region od lat jest naszym partnerem, nie tylko w biznesie, ale też we wspólnym budowaniu odpowiedzialnej przyszłości - mówi Patryk Cieślak, dyrektor Browaru w Warce.

Browar Warka, jako część Grupy Żywiec, łączy innowacyjność z odpowiedzialnością społeczną i ekologiczną. Choć Browar powstał w 1975 roku i obchodzi 50-lecie, tradycje warzenia piwa w Warce sięgają czasów średniowiecza. Browar w Warce należy do najnowocześniejszych zakładów tego typu w Europie. ©©



Medal, przyznany przez Samorząd Mazowsza został wręczony podczas gali 50-lecia Browaru Warka.

Gramy dla Kamila - naszego żołnierza. Będą turniej i piknik

Olha Ilkevych
Radom

W piątek, 10 października, w godzinach od 7 do 19, na stadionie Radomskiego Centrum Sportu odbędzie się wydarzenie pod hasłem „Gramy dla Kamila”.

Celem jest zebranie pieniędzy na leczenie i rehabilitację żołnierza Wojsk Obrony Terytorialnej. Wydarzenie wspiera wiele gwiazd.

10 października 2025 roku na stadionie przy ulicy Struga 63 w Radomiu odbędzie się wyjątkowe wydarzenie łączące sport, integrację służb mundurowych oraz pomoc drugiemu człowiekowi. Pod hasłem „Gramy dla Kamila” zorganizowany zostanie Mazowiecki Turniej Służb Mundurowych, połączony z piknikiem rodzinnym i licznymi atrakcjami.

W programie przewidziano turniej piłkarski, którego finał rozegrany zostanie na głównej płycie boiska. Uczestnicy będą mogli skorzystać z oferty gastronomicznej, grilla oraz kuchni polowej. Dla najmłodszych przygotowano gry i zabawy, a całość uzupełni licytacja charytatywna na rzecz Kamila.

Celem wydarzenia jest zebranie środków na leczenie i rehabilitację żołnierza Wojsk Obrony Terytorialnej, Kamila z Radomia, który po ciężkim udarze walczy o powrót do sprawności.



Kamil z Radomia, żołnierz Wojsk Obrony Terytorialnej. Do udziału w pikniku na jego rzecz zapraszają między innymi Bartosz Opania, Iwona Guzowska, zespół IRA.

Kamil to oddany służbie wojskowej, a prywatnie, kochający mąż i ojciec trzech córek. Przez lata służył innym, niosąc pomoc i wsparcie. 4 lutego 2025 roku jego życie diametralnie się zmieniło. Tego dnia, podczas pełnienia obowiązków służbowych, jego koledzy zauważyli nagłe pogorszenie stanu, zaburzenia mowy, utratę równowagi, problemy z koordynacją. Szybka reakcja i wezwanie pogotowia pozwoliły zdiagnozować udar niedokrwienny mózgu.

Kamil trafił do szpitala w stanie zagrażającym życiu. Choć udało się uratować jego

życie, dziś wymaga intensywnej, kosztownej rehabilitacji. Każdy dzień to walka o samodzielność, każdy postęp okupiony jest wysiłkiem i bólem.

Wydarzenie organizowane jest przez Akademię Sportu Radomian AS, przy wsparciu i pod honorowym patronatem

Wydarzenie „Gramy dla Kamila” odbędzie się 10 października w godzinach 7-19, na Stadionie Radomskiego Centrum Sportu

6 Mazowieckiej Brygady Wojsk Obrony Terytorialnej.

Wydarzenie „Gramy dla Kamila” to symbol solidarności służb i lokalnej społeczności. W programie turniej piłkarski, animacje, wystawy, koncert oraz zbiórka charytatywna. Udział jest bezpłatny.

Do udziału w pikniku zaprasza prezydent Miasta Radomia - Radosław Witkowski, a także wiele gwiazd, między innymi znany aktor Bartosz Opania i Iwona Guzowska, mistrzyni Europy i Polski w boksie. Wydarzenie wspiera również legendarny radomski zespół IRA.

Remont ulicy Królowej Jadwigi w Radomiu

Izabela Kozakiewicz
Radom

W piątek, 10 października od rana drogowcy będą frezowali asfalt na ulicy Królowej Jadwigi w Radomiu.

Trzeba liczyć się z utrudnieniami i lepiej wyruszyć wcześniej, żeby na czas dotrzeć do pracy i szkoły.

Miejski Zarząd Dróg i Komunikacji w Radomiu informuje, że zaczyna się zasadnicza część remontu nawierzchni ulicy Królowej Jadwigi na osiedlu Michałów. Drogowcy ruszą tutaj już od około godziny 7 i będą działać na odcinku między Warszawską a blokiem numer 8, to około kilometra jezdni.

W czwartek, 9 października, takie same prace były prowadzone na ulicy Rapackiego na osiedlu Akademickim. Prace

będą prowadzone na odcinku od skrzyżowania z ulicą Chrobrego a Górniczą, w rejonie wieżowców i przedszkola.

Jak informuje Miejski Zarząd Dróg i Komunikacji w Radomiu, zakres obu zadań obejmie między innymi regulację studni kanalizacyjnych, przełożenie kostki i częściową wymianę krawężników oraz sfrezowanie starego asfaltu i ułożenie nowej warstwy ścieralnej.

Prace na ulicy Królowej Jadwigi będą kosztowały ponad 889 tysięcy złotych, a na Rapackiego - prawie 179 tysięcy złotych.

Wykonawcą tych inwestycji jest firma Budromost-Starachowice z Wąchocka.

O ewentualnych zmianach w organizacji ruchu podczas dalszych części prac będziemy informowali na naszym portalu internetowym. ©©

Stary młyn nad zalewem w Radomiu prawie rozebrany. Będą wielkie zmiany w planach

Izabela Kozakiewicz
Radom

Stary młyn nad zalewem na Borkach w Radomiu był w gorszym stanie niż zakładano. Już niewiele zostało z prawie 100-letniego budynku. Wiadomo, że trzeba będzie zmienić plany.

Wykonawca odsłonił też fundamenty. Uda się coś uratować? Wiadomo na pewno, że trzeba będzie zmienić projekt budowlany nowego obiektu. Ale Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji nadal planuje, że będzie tam restauracja i kino plenerowe.

Stary młyn nad zalewem na Borkach w Radomiu miał być przebudowany, miała stać też nowa część, a całość miała być wykorzystywana między innymi na restaurację



Stary młyn na Borkach - niewiele z niego zostało.

z tarasem widokowym i miejscem na kino plenerowe.

Już wiadomo, że budynek, który stał nad zalewem od lat 30. ubiegłego wieku był w gorszym stanie technicznym niż przypuszczano. W swojej prawie 100-letniej historii był wy-

korzystywany, jako młyn. Później był w nim magazyn sprzętu, a na koniec, przez wiele lat stał pusty.

Konstrukcja była mocno osłabiona, wykonawca rozpoczął rozbiorę, a teraz już niewiele zostało. Ekipy odsłoniły fundamenty, żeby ocenić ich stan. Czy uda się uratować cokolwiek z tego obiektu?

Na razie nie ma odpowiedzi na to pytanie. Wiadomo natomiast, że bez modyfikacji się nie obejdzie.

- Będzie trzeba wprowadzić zmiany do projektu budowlanego. W mocy pozostają natomiast ustalenia dotyczące terminu zakończenia prac, wykonawca ma na to 18 miesięcy od podpisania umowy. Niezmiennie też chcemy, żeby po rozbudowie w tym miejscu była restauracja, kawiarnia i tarasy widokowe - mówi Dariusz

Osiej, rzecznik Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Radomiu.

Jak już pisaliśmy, projekt zakłada, że na parterze byłaby kawiarnia, na piętrze restauracja. W części po starym młynie ma być miejsce na zaplecze kuchenne oraz toalety, ogólnie dostępne dla wszystkich, którzy odwiedzają zalew na Borkach. Tarasy widokowe będą na dachu.

Otoczenie i teren wokół młyna zostanie uporządkowany i dostosowany do funkcji rekreacyjno-usługowych. Będzie też letnie kino plenerowe.

Prace będą kosztowały 7 milionów 164 tysiące 225 złotych i wykonuje je Korporacja Budowlana Darco Dariusz Żak z Radomi. Firma wygrała przetarg ogłoszony przez Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji w Radomiu. ©©

Szkolna Olimpiada w Radomiu. Medal i koszulka dla każdego

Stanisław Wróbel
Radom

W hali Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji przy ulicy Narutowicza 9 w Radomiu odbyła się w środę 8 października Szkolna Olimpiada 2025 z udziałem dzieci ze szkół podstawowych z klas 4-6.

36-osobowe reprezentacje rywalizowały w pięciu konkuren-

ciach: wioślarstwo na ergometrach, łucznictwo - strzały do tarczy, strzelectwo - strzały z broni laserowej do tarczy, skok wzwyż, bieg wytrzymałościowy 3 minuty po obwodzie prostokąta 20 na 10 metrów z przenoszeniem piłek gumowych. W tych zawodach liczyła się dobra zabawa a nie wygrywanie - wszyscy uczestnicy otrzymali medale i pamiątkowe koszulki.



Podczas rywalizacji w hali przy Narutowicza w Radomiu. Startowały 36-osobowe reprezentacje.

Patryk Chruślak
Radom

Ponad tysiąc trzysta osób wzięło udział w Pielgrzymce Maturzystów Diecezji Radomskiej na Jasną Górę.

Maturzyści wzięli udział w drodze krzyżowej na jasnogórskich wałach, adoracji Najświętszego Sakramentu z konferencją oraz mszy świętej przed cudownym obrazem.

Modlitwie przewodniczył biskup radomski Marek Solarczyk, a hasłem przewodnim pielgrzymki były słowa: „Z Maryją odkrywamy misję ucznia Pana”.

- Maryjo nasza matko, stajemy dzisiaj przed tobą jak pielgrzymi nadziei. We wspólnocie rodziny szkół imienia świętego Jana Pawła II, aby dziękować za świętego papieża. Aby dziękować za tych wszystkich, dzięki którym w życiu dzieci i młodzieży umacnia się wiara, kształtuje się wrażliwość na to, że Bóg jest, że ty jesteś opiekunką wszelkich darów Bożego życia w każdym człowieku -



Biskup Marek Solarczyk i nasi maturzyści na jasnogórskich wałach. W pielgrzymce uczestniczyło ponad 1300 młodych ludzi ze szkół leżących w Diecezji Radomskiej.

mówił biskup Marek Solarczyk podczas rozważań apelowych i końcowego błogosławieństwa w Bazylice Jasnogórskiej.

Wśród maturzystów byli uczniowie ze szkół z Radomia, Szydłowca, Skarżyska-Kamien-

nej, Starachowic, Końskich, Szydłowca, Kozienic, Białobrzegów, Zwoleń oraz miejscowości w powiatach radomskim, lipskim i przysuskim.

Pielgrzymka Maturzystów Diecezji Radomskiej to wyjąt-

kowe wydarzenie w życiu uczniów. Wspólna modlitwa, chwile refleksji i obecność przed obliczem Matki Bożej to nie tylko duchowe wsparcie, ale też symboliczny początek ostatniego etapu szkolnej drogi.

MATERIAL INFORMACYJNY PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA S.A.

0311408616

Dołącz do artystycznej przygody i zgłoś się do konkursu „Spotkania ze sztuką”

Fundacja PGE po raz czwarty zaprasza uczniów szkół podstawowych z miejscowości liczących do 50 tys. mieszkańców do udziału w ogólnopolskim konkursie plastycznym „Spotkania ze sztuką”. W tegorocznej edycji motytem przewodnim jest twórczość Vincenta van Gogha - artysty, którego dzieła przepełnione są emocjami, barwami i niezwykłą ekspresją.

Zadaniem uczestników będzie stworzenie własnej interpretacji wybranego obrazu mistrza, wykorzystując dowolną technikę plastyczną. Prace należy wykonać na papierze technicznym w formacie A2 i przesłać do 14 listopada 2025 roku. W konkursie wyodrębnione zostały trzy kategorie: dla klas I-III, IV-VI, VII-VIII, a najlepsze dzieła zostaną zaprezentowane w muzeach narodowych w całej Polsce. Na laureatów czekają atrakcyjne nagrody, wycieczki muzealne oraz możliwość udziału w inspirujących warsztatach.

W tej edycji konkursu lista instytucji biorących udział w projekcie została rozszerzona o dwa nowe



patronat honorowy

Minister Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Minister
Edukacji

patronat medialny

TVP

NIEZŁA
SZUKA

muzea: Muzeum Narodowe w Szczecinie oraz Muzeum Narodowe we Wrocławiu. Tym samym uczestnicy będą mogli odwiedzić jedno z siedmiu prestiżowych muzeów: Muzeum Narodowe w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Kielcach, Gdańsku, Szczecinie lub Wrocławiu.

Dodatkowo, każdy laureat otrzyma indywidualną nagrodę w postaci bonu o wartości 300 zł do wykorzystania w sklepie Empik, a opiekun laureata - bon o wartości 200 zł jako wyraz uznania za zaangażowanie i wsparcie artystycznych działań uczniów.

Organizatorzy przygotowali również specjalne zadanie filmowe - relację z wycieczki muzealnej, która zostanie opublikowana na profilu szkoły na Facebooku. Pięć najpopularniejszych filmów przejdzie do finału, a trzy najlepsze szkoły otrzymają nagrody finanso-

we o wartości 5 000 zł, 7 500 zł oraz 10 000 zł.

Poprzednia, trzecia edycja konkursu pokazała, jak ogromny potencjał drzemie w młodych artystach z całej Polski. Wśród 2683 nadesłanych prac znalazły się również te z województwa świętokrzy-

skiego, które zachwyciły jury i zdobyły zasłużone wyróżnienia. W gronie laureatów znalazły się aż 24 szkoły z regionu, w tym: Zespół Szkolno-Przedszkolny w Wiślicy, Zespół Szkół im. Jana Pawła II w Osieku, Publiczna Szkoła Podstawowa im. Batalionów Chłopskich w Kleczanowie, Publiczna Szkoła Podstawowa im. Marii Konopnickiej w Suchowoli - które w ramach nagrody odwiedziły Muzeum Narodowe w Krakowie. Ich sukces pokazuje, że nawet najmniejsze szkoły mogą sięgnąć po wielkie nagrody, jeśli tylko zdecydują się wziąć udział.

Organizatorzy zachęcają wszystkie szkoły podstawowe z województwa świętokrzyńskiego - z miejscowości poniżej 50 tys. mieszkańców - do udziału w IV edycji konkursu „Spotkania ze sztuką”. To okazja do rozwijania kreatywności i wyobraźni uczniów, ale także szansa na zaprezentowanie talentu szerszej publiczności.

Sztuka jest blisko, wystarczy po nią sięgnąć. Może to właśnie Wasza szkoła znajdzie się w gronie tegorocznych zwycięzców?

Białobrzescki Uniwersytet Trzeciego Wieku rozpoczął drugi rok akademicki

Izabela Kozakiewicz
Białobrzegi

Pierwsze w tym roku akademickim spotkanie Białobrzesckiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku za nami.

Białobrzescki Uniwersytet Trzeciego Wieku zainaugurował drugi rok akademicki w poniedziałek 6 października. Seniorzy tradycyjnie spotkali się

w Białobrzesckim Centrum Kultury Białe Brzegi. Wysłuchali wykładu Michała Adamczyka z radomskiej delegatury Instytutu Pamięci Narodowej „Żołnierze wyklęci w regionie radomskim”.

Zajęcia będą się odbywały dwa razy w miesiącu, w poniedziałki o godzinie 17. Kolejne spotkanie będzie w poniedziałek 20 października. Koszt udziału to 30 złotych miesięcznie.



Ze studentami Uniwersytetu spotkał się Michał Adamczyk z radomskiej delegatury Instytutu Pamięci Narodowej.

Patryk Samborski
Radom/Region

W niedzielę, 19 października, uczestnicy cyklu rowerowych wycieczek „Jazda z miasta!” po raz ostatni w tym sezonie wyruszą na trasę.

Finał tegorocznej edycji zaprowadzi do Leśnego Ośrodka Edukacyjnym Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Jedlni-Letnisku. Trwają zapisy.

Do przejechania będzie nieco ponad 20 kilometrów w jedną stronę. Trasa poprowadzi z Radomia przez Kozłowskie Komorniki i Wielką Górę, a następnie przez szutrówkę Kozłów - Kieszek do nowego niebieskiego szlaku pieszego PTTK, którym uczestnicy dotrą do ośrodka w Jedlni.

Październikowa wycieczka będzie propozycją przede wszystkim dla miłośników klasycznego MTB - nie nadaje się na rower miejski. Zbiórka uczestników tradycyjnie odbędzie się o godzinie 10 przed bu-



Aby wziąć udział w wycieczce, należy wypełnić formularz zgłoszeniowy dostępny na radiatoradom.pl/jazdazmiasta. Zapisy potrwać do piątku, 17 października, do północy.

dynkiem przy ulicy Krukowskiego (dawniej NOT), gdzie mieści się redakcja Echa Dnia. Start zaplanowano kwadrans później.

Kolumna rowerzystów, prowadzona w asyście funkcyj-

riuszy radomskiej drogówki, przejedzie ulicami: Kelles-Krauz, Malczewskiego, Warszawską, Kusocińskiego, Żwirki i Wigury, 11 Listopada, Struga, Kozienicką i Potkańskiego, aż do Dąbrowy Kozłowskiej.

Finał „Jazdy z miasta!” odbędzie się w Leśnym Ośrodku Edukacyjnym RDLP w Jedlni-Letnisku. Na uczestników czekać będzie ognisko oraz upominki od sponsorów i partnerów wydarzenia.

AUTOREKLAMA

0011412593

Zapraszamy na kolejną wyprawę

Jazda z Miasta

W niedzielę, 19 października jedziemy na zakończenie sezonu do Leśnego Ośrodka Edukacyjnego Lasów Państwowych w Jedlni-Letnisko

Wyjazd o godzinie 10:00 z parkingu przy redakcji Echo Dnia, ul. Krukowskiego 1 (NOT)

Wycieczki w ramach „Jazdy z miasta!” są bezpłatne, dostępne dla wszystkich chętnych.

Jedynie, co trzeba będzie zrobić, to zarejestrować się na liście uczestników. Każdą „Jazdę” kończymy około godz. 13.00-14.00 ogniskiem i pieczeniem kiełbasek. Powrót z wycieczek odbywa się na własną rękę.

Dystans wycieczek to w zależności od edycji 30-60 km w jedną stronę.

Więcej szczegółów i zapisy:
www.rodex.net.pl
www.echodnia.eu/radomskie
www.radiatoradom.pl

ORGANIZATORZY:

PARTNERZY:

PATRONI MEDIALNI:



MEGADEX



Lasy Państwowe



BETIS

BUDOPOL DELTA

CKZU NR 2 RADOM



CONFIRME SP. Z O.O.

EMER



Hostel GROUP POLAND PL

Janas www.janas.info

ZAKŁADY AUTOMATYKI KOMBUD



MAX-POL TRANSPORT & SPEDYCCJA

Spółdzielnia Mieszkaniowa NASZ DOM

POLDOM

TECHMATIK A COLUMBIA MACHINE INC. COMPANY

Lobo



Tymex OKNA I DRZWI



wodociągi miejskie

Ster Sp. z o.o. VW BOSCH



ed ECHODNIA.EU



POLSKA i ŚWIAT

WASZYNGTON

– Nikt w historii nie zakończył tylu wojen, co ja, ale pewnie znajdą jakiś powód, by nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla – oświadczył prezydent USA Donald Trump. W piątek zostanie ogłoszony tegoroczny laureat tego wyróżnienia. Jego kandydaturę do otrzymania nagrody poparli m.in. przywódcy Armenii, Azerbejdżanu, Demokratycznej Republiki Konga, Izraela, Kambodży i Rwandy. | PAP

”

Nikt w historii nie zakończył tylu wojen, co ja, ale pewnie znajdą jakiś powód, by nie przyznać mi Pokojowej Nagrody Nobla

Donald Trump prezydent USA

Polski urzędnik szpiegował dla rosyjskiego wywiadu?

Marcin Koziestański
Warszawa

Do Sądu Okręgowego w Warszawie skierowany został akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L., oskarżonemu o szpiegostwo oraz przekroczenie uprawnień funkcjonariusza publicznego.

Informację przekazał Jacek Dobrzyński, rzecznik koordynatora służb specjalnych. Prokuratura zarzuca Tomaszowi L. udział w działalności rosyjskiego wywiadu.

Dobrzyński przekazał w czwartek na platformie X, że akt oskarżenia jest wynikiem długotrwałego i wielowątkowego postępowania prowadzonego przez funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod nadzorem Prokuratury Krajowej.



FOT. KRZYSZTOF KAPICA

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez ABW 17 marca 2022 r.

Sprawa dotyczy pracownika Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie, zatrzymanego przez funkcjonariuszy ABW 17 marca 2022 r. - wynika z szerzej informacji opublikowanej na stronie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Po tym zatrzymaniu prokuratura, na podstawie materia-

łów ABW, wszczęła śledztwo, a sąd zastosował wobec niego środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który był przedłużany.

ABW przekazała, że 11 września 2025 r. prokurator z Mazowieckiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu do Spraw Przestępczo-

ści Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej skierował do Sądu Okręgowego w Warszawie akt oskarżenia przeciw Tomaszowi L. Śledczy zarzucili mężczyźnie branie udziału, w okresie od 2017 r. do dnia 17 marca 2022 r., w działalności rosyjskiego wywiadu cywilnego oraz przekazywanie temu wywiadowi informacji, które mogły wyrządzić szkodę Rzeczypospolitej Polskiej.

„W wyniku długotrwałego i wielowątkowego postępowania przygotowawczego prowadzonego przez ABW pod nadzorem ww. Prokuratury, zebrano obszerny materiał dowodowy, z którego wynika, że Tomasz L., będąc pracownikiem Wydziału Archiwalnego Książ Stanu Cywilnego Urzędu m.st. Warszawy i posiadając dostęp do jego

zbiorów oraz systemów, pozyskiwał służbową dokumentację i materiały, które przekazywał rosyjskiej służbie wywiadowczej” - wyjaśniono w komunikacie.

Prokuratura Krajowa poinformowała w czwartek, że z materiału dowodowego wynika, że Tomasz L. miał kopiować na prywatne nośniki i fotografować telefonem służbowe dokumenty, w tym akty stanu cywilnego obywateli polskich i cudzoziemców, korespondencję z placówkami dyplomatycznymi, urzędowe szablony, wytyczne i inne dane.

„Uzyskiwane dane i dokumenty umożliwiały m.in. wykonanie przez obce służby dokumentacji legalizacyjnej dla budowania tożsamości tzw. nielegalów. (...) Dane te przekazywał następnie ustalo-

nemu oficerowi wywiadu za pomocą zakamuflowanej łączności radiowej. Wcześniej został w tym zakresie przeszkolony przez rosyjskie służby” - podała PK.

Po zatrzymaniu na wniosek prokuratury sąd zastosował wobec Tomasza L. środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania, który następnie był przedłużany, w tym ostatnio przez Sąd Apelacyjny w Warszawie na kolejnych 6 miesięcy, tj. do 25 marca 2026 r.

Tomasz L. nie przyznał się do zarzucanego mu czynu. Na początkowym etapie śledztwa złożył wyjaśnienia. Podczas następnych przesłuchań korzystał z prawa do odmowy składania wyjaśnień - przekazali śledczy w komunikacie. PAP

REKLAMA

0011413774

Radom, 9.10.2025 r.

 Ar.III.6740.2.309.2025.MG/AR
Nr arch.: 75 660

**OBWIESZCZENIE NR 204/2025
Prezydenta Miasta Radomia**

Na podstawie art. 11f ust. 3 i 4 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych j.t. Dz.U. z 2024 r., poz. 311/ i art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego /j.t. Dz.U. z 2024 r. poz. 572 ze zm./

zawiadamiam, że w dniu 9.10.2025 r. została wydana decyzja nr 384/2025 o zezwoleniu na realizację inwestycji drogowej

na wniosek Prezydenta Miasta Radomia w ramach działalności Miejskiego Zarządu Dróg i Komunikacji w Radomiu, 26-600 Radom, ul. Romualda Traugutta 30/30A, dla inwestycji drogowej pn.: „Rozbudowa DP 5304W ul. Żwirki i Wigury oraz DP 5305W ul. 11 Listopada i ul. Szarych Szeregów” w ramach zadania „Opracowanie dokumentacji dla potrzeb rozwoju zrównoważonej mobilności w ramach programu Polska Wschódni – etap I: budowa dróg dla rowerów oraz parkingów bike & ride.”

1. Linie rozgraniczające teren, wyznaczające pas drogowy drogi powiatowej, obejmują następujące działki:
(Przed nawiasem wskazano numer działki ewidencyjnej przed podziałem, natomiast w nawiasie numery działek ewidencyjnych po podziale. **Pogrubioną czcionką** zostały oznaczone numery działek ewidencyjnych objęte liniami rozgraniczającymi projektowanego pasa drogowego drogi powiatowej)

Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0040 Obozisko_Arkusz_31: **37/1**; 19/56(19/67; **19/68**); 19/54(19/65; **19/66**); 19/52(19/63; **19/64**); 19/50(19/61; **19/62**); 19/28; 19/30(19/59; **19/60**); **4/2**; 19/19; **19/23**; **4/3**; **3/2**;

Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0020 Golebiów_Arkusz_19: **18/1**; **54/3**;

Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0020 Golebiów_Arkusz_18: **124/4**; **153**; **100/1**; **99/1**; **140/2**;

Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0040 Obozisko_Arkusz_17: **4/2**; **4/1**; **1/3**; **1/4**; **6**; **1/7**; **7**; **8**; **46/2**; **46/1**; **9/5**;

Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0040 Obozisko_Arkusz_16: **97/1**;

2. Działki objęte poszczególnymi obowiązkami:
Działki przeznaczone na budowę innych dróg publicznych zgodnie z art. 11f ust. 1 pkt. 8 lit. g i 8 lit. j – dróg gminnych:
(**Pogrubioną czcionką** zostały oznaczone numery działek ewidencyjnych objęte obowiązkiem budowy dróg publicznych).

- Budowa (rozbudowa) drogi powiatowej nr 5301W – ulicy Bolesława Chrobrego
Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0020 Golebiów_Arkusz_19: **59**;
- Budowa (rozbudowa) drogi powiatowej nr 5395W – ulicy Warszawskiej
Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0040 Obozisko_Arkusz_31: **1/7**;
- Budowa (rozbudowa) drogi wewnętrznej – ulicy Nowowolskiej
Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0020 Golebiów_Arkusz_18: **149**;
- Budowa (rozbudowa) drogi wewnętrznej – ulicy Wójtowskiej
Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0020 Golebiów_Arkusz_18: **148**;

Działki przeznaczone na budowę i przebudowę sieci uzbrojenia terenu zgodnie z art. 11f ust. 1 pkt. 8 lit. e i 8 lit. j:
(**Pogrubioną czcionką** zostały oznaczone numery działek ewidencyjnych poza liniami rozgraniczającymi projektowane pasy drogowe dróg publicznych objęte obowiązkiem budowy i przebudowy sieci uzbrojenia terenu).

Jedn. ewid. miasto Radom, Obręb 0040 Obozisko_Arkusz_16: **188/1**; **188/2**; **86**; **87/5**;

Z treścią decyzji można się zapoznać po wcześniejszym umówieniu - telefon 48 36 20 595, w Urzędzie Miejskim w Radomiu, ul. Kilińskiego 30, w godzinach pracy urzędu poza środą. Decyzja staje się ostateczna po upływie 28 dni od dnia publicznego ogłoszenia o jej wydaniu, gdy nie zostało od niej złożone odwołanie.

REKLAMA

0011413376

Wójt Gminy Wolanów
działając na podstawie art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21.08.1997 r. o gospodarce nieruchomościami (Dz. U. z 2024 r., poz. 1145 ze zm.)
informuje,
że na tablicy ogłoszeń w siedzibie Urzędu Gminy Wolanów, ul. Radomska 20, w dniu 8.10.2025 r. został wywieszony na okres 21 dni wykaz nieruchomości położonej w obrębie Wolanów, ozn. jako działka ewidencyjna nr 69, przeznaczonej do oddania w dzierżawę dotychczasowym dzierżawcom na okres 1 roku, z przeznaczeniem na prowadzenie działalności handlowej, a ponadto wykaz został zamieszczony na stronach internetowych Urzędu Gminy Wolanów: www.bip.wolanow.pl i www.wolanow.pl w zakładce nieruchomości.
Szczegółowe informacje można uzyskać w Urzędzie Gminy Wolanów, ul. Radomska 20, pokój nr 13, tel. 48 380 36 37.

REKLAMA

0011413414

Jak wmieszać się w literaturę?

MATEUSZ PAKUŁA

JAK NIE ZABIŁEM SWOJEGO OJCA I JAK BARDZO TEGO ŻAŁUJĘ

OPIEKA REŻYSERSKA: MICHAŁ PABIAN

13 października / godz. 18:00
Scena Kottownia

WSTĘP WOLNY



„Miejsce Kultury” i Dziedzictwa Narodowego
visitRadom.pl
RADOM ZASKAKUJE

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury oraz Gminy Miasta Radom.

DROBNE

Centralne Biuro Reklam i Ogłoszeń
al. IX Wieków Kielce 4, 25-516 Kielce
tel. 500-324-230, brio@echodnia.eu

Praca

ZATRUDNIĘ

GOSPODARSTWO praca# 691512930

Niemiecka firma zatrudni do regipsów. 0049 170 540 50 90.

W gospodarstwie mlecznym, z doświadczeniem, zamieszkanie, 517-433-784

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

WYKOŃCZENIA wnętrz, malowanie, szpachlowanie, płytki, panele, prace duże oraz małe Kielce 605931799

INNE

0011409067

KOLDREX

PRANIE PIERZA

Z Klienta starych pierzyn, kółder, poduszek
szyjemy nowe koldry, poduszki. Rabaty!

534-222-122, www.koldrex.pl



Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic -
tradycyjne turnusy Świąteczne,
tel.: 501-642-492.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIE ciągniki, przyczepy, maszyny
rolne. Tel. 535135507.

Usługi kamieniarskie

NAGROBEK granit z montażem od
5500 zł, tel. 602-228-750.

REKLAMA

0011407217

System nieodpłatnego poradnictwa w Powiecie Kieleckim

Na terenie Powiatu Kieleckiego funkcjonuje system nieodpłatnego poradnictwa, który obejmuje: nieodpłatną pomoc prawną, nieodpłatne poradnictwo obywatelskie, nieodpłatną mediację.

Poza punktami, o których mowa powyżej, funkcjonują jednostki nieodpłatnego poradnictwa, które udzielają nieodpłatnej pomocy między innymi z zakresu poradnictwa rodzinnego, psychologicznego, pomocy społecznej, w sprawach przeciwdziałania przemocy w rodzinie, w ramach interwencji kryzysowej. Zajmują się też poradnictwem dla osób bezdomnych i pokrzywdzonych przestępstwem.

Poniżej załączono link do listy jednostek nieodpłatnego poradnictwa dla mieszkańców Powiatu Kieleckiego. Lista zawiera dane jednostek nieodpłatnego poradnictwa uporządkowane według tematyki poradnictwa.

<https://bip.powiat.kielce.pl/nieodplatna-pomoc-prawna/lista-jednostek-nieodplatnego-poradnictwa>

REKLAMA

4011241453



KURSY NA

SZKOLENIE OKRESOWE

KWALIFIKACJA WSTĘPNA

ADR

WARSZTATY INSTRUKTORSKIE

KURSY PRAWA JAZDY

13 X

15⁰⁰

AB

UMOŻLIWIAMY WYKŁADY
PRZEZ INTERNET

15 X

16⁰⁰

CD

KAT.
AB
CD
C-E

Kielce, ul. Żytnia 20
www.szkolachudy.pl

41-366-08-62
602-299-279

Zawieszenie broni w Strefie Gazy. Szansa na trwały pokój

Oprac. Karolina Wrońska
Strefa Gazy

Zawieszenie broni w Strefie Gazy to pierwszy krok do trwałego pokoju w regionie. Prezydent USA Donald Trump zapowiedział, że izraelscy zakładnicy zostaną uwolnieni przez Hamas.

Prezydent USA Donald Trump poinformował jako pierwszy, że zostanie podpisane zawieszenie broni pomiędzy Hamasem a Izraelem. Dodał, że izraelscy zakładnicy przetrzymywani w Strefie Gazy zostaną „najpewniej uwolnieni w poniedziałek”. W wywiadzie dla telewizji Fox News dodał, że palestyńska organizacja Hamas ma też przekazać ciała zakładników porwanych 7 października 2023 roku.

Amerykański przywódca ocenił, że „cały świat zjednoczył się wokół porozumienia dotyczącego Strefy Gazy”. Dodał, że jest ono „dobre dla Izraela, dla krajów arabskich, muzułmańskich oraz dla USA”.

W czwartek około południa biuro premiera Izraela Benjamina Netanjahu przekazało publicznie, że długo oczekiwane zawieszenie broni wejdzie w życie jeszcze tego samego dnia, wieczorem, po tym, gdy pierwsza faza porozumienia rozejmowego zostanie oficjalnie zaakceptowana przez izraelski rząd.



FOT. PAP/EP/ABIR SULTAN

W czwartek w wielu miastach Izraela ludzie wyszli tłumnie na ulice, świętując informację o zawieszeniu broni w Strefie Gazy

„Region zostanie odbudowany”

Donald Trump oświadczył, że „to coś więcej niż Strefa Gazy”.

– To pokój na Bliskim Wschodzie. To coś niesamowitego – stwierdził Trump.

Prezydent USA zapewnił też, że region zostanie odbudowany, stanie się spokojnym i bezpiecznym miejscem, a jego mieszkańcy będą zaopiekowani.

– Jestem przekonany, że na Bliskim Wschodzie będzie pokój. Słowa „pokój na Bliskim Wschodzie” to coś, do czego

dążono od setek lat, od wieków – podkreślił Trump.

Przywódcy krajów z całego świata wyrazili zadowolenie z porozumienia.

– Porozumienie w sprawie Gazy i uwolnienie zakładników to szansa na koniec wojny i rozwiązanie dwupań-

stwowe – stwierdził prezydent Francji Emmanuel Macron.

„To szansa na wytyczenie wiarygodnej drogi politycznej prowadzącej do trwałego pokoju i bezpieczeństwa” – napisała na portalu X szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Również rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow oświadczył w czwartek, że Rosja „zdecydowanie popiera” wysiłki i decyzję Izraela oraz Hamasu, zatwierdzając pierwszy etap planu pokojowego dla Strefy Gazy.

PAP

Trump: Region zostanie odbudowany i stanie się spokojnym, bezpiecznym miejscem, a jego mieszkańcy będą zaopiekowani

Chiny przygotowują swoją armię do „niespodziewanego ataku” na Tajwan?

Oprac. Anna Nagel
Tajpej

„Chiny nasilają działania wojskowe wokół Tajwanu i przygotowują się do niespodziewanego ataku” – ostrzegło w czwartkowym raporcie ministerstwo obrony w Tajpej.

W publikowanym co dwa lata raporcie resort ostrzega, że Pekin w ciągu ostatnich pięciu lat zintensyfikował presję militarną, a od 2022 roku przeprowadził co najmniej sześć manewrów wojennych na dużą skalę wokół wyspy.

Według dokumentu Chiny używają narzędzi sztucznej inteligencji do osłabiania cyberbezpieczeństwa Tajwanu i wyszukiwania słabych punktów w infrastrukturze krytycznej. Pekin ma też stosować „wojnę hybrydową”, aby osłabić zaufanie społeczeństwa do rządu oraz nasilać presję w „szarej strefie” m.in. poprzez patrole straży przybrzeżnej.



FOT. PAP/EP/ITCHIE B. TONGO

Tajwan podkreśla swoją niezależność od Chin

„Zarówno poprzez konwencjonalne, jak i niekon-

wencjonalne działania wojskowe (Pekin) dąży do przetestowania swoich zdolności do ataku na Tajwan i konfrontacji z siłami zagranicznymi” – napisali autorzy raportu.

Resort obrony w Tajpej dodał, że Chiny mogą podjąć próbę nagłego przekształcenia ćwiczeń w działania bojowe, aby zaskoczyć Tajwan i jego międzynarodowych sojuszników, co będzie stanowić „poważne zagrożenie dla regionalnego pokoju”.

W raporcie podkreślono także, że Pekin intensywnie wykorzystuje cywilne statki handlowe do transportu wojskowego i rozwija specjalistyczny sprzęt do operacji desantowych.

Komunistyczne władze w Pekinie uznają demokratycznie rządzony Tajwan za część swojego terytorium

i nie wykluczają użycia siły w celu przejęcia nad nim kontroli, a prezydenta Laia Ching-te uznają za „separatystę”. Lai odrzuca roszczenia Pekinu, twierdząc, że Republika Chińska (Tajwan) i Chińska Republika Ludowa (Chiny) „nie są sobie podporządkowane” i tylko mieszkańcy wyspy mogą decydować o swojej przyszłości.

Tajwański prezydent Lai Ching-te oświadczył niedawno, że Donald Trump zasłużyłby na Pokojową Nagrodę Nobla, gdyby przekonał przywódcę Chin Xi Jinpinga do trwałego porzucenia użycia siły militarnej przeciwko Tajwanowi. W wyjątkowo ostrej reakcji chińskie władze oskarżyły Laia o „prostytuowanie się” i „sprzedawanie Tajwanu”.

PAP

S p r a w a n a j w y ż s z e j w a g i



PULS
#185

GRZYBOBRANIE. NARODOWY SPORT POLAKÓW

Z lasów każdego roku wynosimy 100 tysięcy ton podgrzybków, kozaków, borowików, kurek, maślaków. Zbieramy grzyby dla samych grzybów, dla zdrowia, dla kontaktu z naturą, czasami chcemy się po prostu wyciszyć i odstresować. Potem nasze zbiory smażymy, mrozimy, marynujemy, suszymy. I znowu ruszamy do lasu, by pielęgnować pasję zbieractwa

Dorota Kowalska

Coroku jest to samo. Zbliża się wrzesień, Jacek, pięćdziesięciolatek, zaczyna nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zerkna na Facebooka, śledzi serwisy informacyjne, buszuje po sieci. Coś sprawdza.

- Zgadnij, co? - pyta Marta, żona.

- Pojęcia nie mam! - przyznaje.

- Sprawdza, czy już pokazały się grzyby - wybucha śmiechem.

Kiedy się pokażą, Jacek mógłby wygrać konkurs na najlepszego męża świata. Wyprzedza myśli Marty. Sprząta, robi zakupy, odbiera dzieci ze szkoły. Wszystko po to, aby w piątek wieczorem zapytać: „To może jutro rano skoczę na grzyby?”.

- Nie chodzi na spacer, nie chodzi do siłowni, nie uprawia sportu. Mówię mu przynajmniej raz w tygodniu, że musi zrzucić trochę brzucha. „Tak, tak” - obiecuje i na tym się kończy. Pokażą się grzyby, biega pięć godzin po lesie, a potem przyjeżdża do domu i pęka z dumy. „Zrobiłem 14 tysięcy kroków” - woła od progu, że niby tak dba o kondycję - opowiada Marta.

I przyznaje, że roboty przy grzybach nie ma. Jacek sam wszystko obiera, część grzybów suszy, czasem marynuje, częściej mrozi, czasami zanoszą sąsiadom.

Ale w tym roku Jacek jest jakiś nieswój. Nie wie, co robić. Zaczęła już sprzątać, czy jeszcze czekać? Raz piszą, że w lasach pusto, innym razem, że zaczęły się prawdziwe grzybowe wysyp.

Zostaje telefon do eksperta. To są grzyby czy ich nie ma?

- To zależy, gdzie - odpowiada Janusz Piechociński, były wiceprezes Rady Ministrów, minister gospodarki, były prezes PSL i zapalony grzybiarz.

Tam, gdzie była susza grzybów nie ma, tam gdzie lało - są. Ale bywają takie regiony w Polsce, choćby pod Warszawą, gdzie

grzybni najzwyczajniej w świecie zdążyła się zakonserwować. Mało padało w tym roku, mało w zeszłym, mało dwa lata temu. I teraz nawet jeśli spadnie na nią deszcz, trzeba czasu, żeby się odrodziła.

- Poziom wód gruntowych jest bardzo niski. Poza tym, dzisiaj deszcze są intensywne, ale krótkotrwałe, a to grzybni nie służy - tłumaczy ekspert Piechociński.

I dodaje, że w tym roku grzyby pokazały się miesiąc temu. Wtedy były rekordowe zbiory, oczywiście nie wszędzie. Ale on pod Starym Sączem zbierał kosze borowików i dostrzegł, że zaczynają pojawiać się prawdziwki. Dwa tygodnie temu pod Tarczynem zebrał ich 17,5 kilograma. Ale przyszły przymrozki i w sobotę spod Wyżkowa przywiózł ledwie koszycek grzybów.

Dla podtrzymania tradycji

Janusz Piechociński pasję zbieractwa oddziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona po szkole, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od praga.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna - opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsce, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzołek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami” - zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną



Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 procent podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję

w określonych miejscach, dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbiorowych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!”. Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!”.

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym, sosnowym, niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych kozłarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce

z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, bo szkoda było miejsca na nożki.

Dzisiaj grzyby rozdaje - surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci słoiczek z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!”. Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak miała dość. Dziś obdarowywani sami muszą grzyby obrabiać.

- Najbardziej lubię pierogi z kapustą i grzybami, rydze z patelni, które zawsze przyrządzam z przyjacielem. Lubię zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jestem - przyznaje wiceminister.

Mimo tego, chodzi i zbiera. A czasami człowiek przemierzy wiele kilometrów, umorduje się

i nic, nawet małego maślaka, o prawdziwku nie mówiąc.

- Czemu ludzi ciągnie do lasu? Co takiego jest w tym zbieraniu grzybów? - dopytuje.

- A dlaczego mój szwagier potrafi przesiedzieć nad Wisłą 16 godzin, wrócić do domu przemarznięty i opowiadać, że miał cztery brania? - wzrusza ramionami Piechociński. - Pasja i tyle - dodaje.

Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godziną piątą, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

- Najgorsze chwile przeżywałem wtedy, kiedy wiedziałem, że są grzyby, a byłem służbowo w jakiejś innej części Polski. Miałem wtedy świadomość, że mój rywal w zbieraniu, pewien eme-

ryt, wybiera mi wszystkie grzyby - śmieje się były minister gospodarki. W tym roku też biega po zagajnikach. Szuka.

Dla grzybów i kontaktu z naturą

Mówi się, że chodzenie na grzyby to sport narodowy Polaków. Ale też, według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. W ostatnim czasie portal Rankomat.pl przeprowadził badanie, które pokazało, że 38 proc. z nas nie chodzi po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików czy maślaków - 62 proc. Polaków deklaruje, że zbiera grzyby.

Ci, którzy wybierają się na grzybobranie, robią to przede wszystkim dla samych grzybów - tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów - taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. osób; 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, a 25 proc. nie cierpi papająków i kleszczy.

Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

Z kolei w badaniu agencji SW Research dla „Wprost” 21,2 proc. osób stwierdziło, że często zbiera w sezonie grzyby, 50,2 proc. zbiera je czasami, a 28,6 respondentów twierdzi, że za grzybami po lasach nie biega.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez której grożą surowe kary finansowe.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne – niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera, czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większości (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie” pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej” nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Dla bigosu i bitek

Wojciech Kowalczyk to były świetny piłkarz, reprezentant Polski, srebrny medalista olimpijski z Barcelony, a dzisiaj, po zakończeniu sportowej kariery, ekspert piłkarski.

– Byłem świetnym piłkarzem, teraz jestem świetnym grzybiarzem – śmieje się na początku naszej rozmowy.

Właśnie, bo Kowalczyk słynie w sportowym środowisku z zamiłowania do zbierania grzybów. On też, jak Janusz Piechciński, po lasach biegał od dzieciaka. – Mój wuj był sołtysiem w małej wiosce Koziołek koło Warki. W czasie wakacji jeździliśmy tam całą rodziną i razem z dziadkiem czy tatą chodziliśmy po lasach – wspomina.

Wuj, sołtys, miał wszystko: truskawki, ogórki, owoce, ale oni szukali grzybów.

– Nauczyłem się wtedy dwóch rzeczy: spać w stodole na sianie i zbierać grzyby. W stodole na sianie spało się dlatego, żeby rano, wychodząc do lasu, nie zbudzić domowników – tłumaczy Kowalczyk.

W tym roku był już kilka razy na grzybach, trochę nazbierał, ale szalu nie ma. Nie było deszczu, sucho. Jak każdy grzybiarz ma swoje ulubione miejsca.

– W lipcu i sierpniu grzybów nie zbieram, są najczęściej robaczywe. Dla mnie sezon zaczyna się we wrześniu – mówi.

Najczęściej jeździ w okolice Przasnysza i Szczytna, bo ponoć nigdzie nie ma takich lasów. Tam zbiera pierwsze, najlepsze grzyby, głównie prawdziwki. Ale są też Warka, Wilga, Grabów nad Pilicą.

Jego rekord? W Wielbarku, jakieś 15 lat temu, zebrał dwa kosze czerwonych kozaków. Żadnego innego grzyba – same czerwone kozaki.



FOT. MARIUSZ KAPALA

Prawdziwek, czyli borowik szlachetny, to najbardziej pożądany grzyb w polskich lasach. Ale są też miłośnicy rydzów, kurek czy maślaków

Wyjeżdża na grzyby bardzo wcześnie, właściwie wchodzi do lasu, kiedy świta. Śmieje się z kolegami, że muszą uprzedzić miejscowych kolarzy.

– A kto to taki? – dopytuje.

– Miejscowi, którzy jeżdżą na rowerach i zbierają przy drodze najlepsze okazy – tłumaczy. – Więc wjeżdżam wcześniej, bo raz, że nie ma wtedy korków, a dwa, włącza mi się duch rywalizacji – dodaje.

Ale przed wejściem do lasu zawsze zapali papierosa, zje kanapkę, napije się ciepłej herbaty czy kawy z termosu i dopiero wtedy rusza w zarośla.

– Czemu Polacy tak lubią zbierać grzyby? – pytam.

– Myślę, że z wielu powodów, ale nie bez znaczenia jest tu polska kuchnia, w niej bez suszonych grzybów ani rusz – tak odpowiada. W każdym razie on nie wyobraża sobie bigosu czy wołowych bitek bez grzybków.

Jest fanem tych suszonych, ale niektóre marynuje, część przegotowuje i mrozi. Stoiczki z marynowanymi kapeluszami rozdaje sąsiadom.

– Dla mnie najważniejsze jest chyba samo chodzenie po lesie, kontakt z naturą. Grzyby to taki dodatkowy bonus – mówi.

Dla zdrowia i wyciszenia

Lekarze i psychologowie są zgodni: ruszać do lasu! Zbieranie grzybów dobrze wpływa na nas i nasze samopoczucie. Spacerowanie po lesie, schylanie się po grzyby wzmacnia nasz układ krążenia. Kontakt z naturą, zapach lasu uspokaja, obniża ciśnienie krwi i poziom stresu.

– Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebudzowani, a grzybobranie to taka

ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem – mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

– Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby – przyznała Rotkiel.

Tym bardziej że grzyby po prostu są. Występują we wszystkich strefach klimatycznych, przede wszystkim na łąkach, ale także w wodach – i tych słodkich, i tych słonych. Do tej pory opisano około 70 tysięcy gatunków grzybów, ale ta liczba może być większa. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast – grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególnie znaczenie przypisywali trufiom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia – stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy

zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło – wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiał się kilkukrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów, porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Wspomniany już wyżej Janusz Piechociński napisał na Twitterze: „W polskich lasach występuje 1,4 tys. gatunków grzybów jadalnych, choć tylko 47 z nich jest dopuszczonych do obrotu produkcji przetworów grzybnych. Przeciętny Polak rozpoznaje 15 gatunków grzybów, a wytrawny grzybiarz około 40 gatunków”.

Dla bycia razem

Anna Wyszykowska mówi, że rozpoznaje z 20 gatunków, ale od dziecka jeździła z rodzicami na grzybobrania. Przychodziło późne lato, jesień – w sobotę pakowali się w czworkę do starego, wysłużonego „malucha” (oprócz rodziców jeszcze brat) i jechali do lasu.

– To był swego rodzaju rytuał. Jeździliśmy w jurę krakowsko-częstochowską. Tata miał tam swoje ulubione miejsca, zawsze pełne grzybów. Wyruszaliśmy bladym świtem, wracaliśmy na obiad, który mama zawsze przygotowywała dzień wcześniej – opowiada Anna, dzisiaj bizneswomen.

Pamięta, że w lesie mieli trzymać się rodziców, chociaż zdarzało im się zgubić; na szczęście całą czwórką, tata zawsze jednak znajdował wtedy drogę powrotną. Nauczył ją, że trzeba szukać słupów z liniami wysokiego napięcia, bo one doprowadzą człowieka do drogi albo jakiejś miejscowości.

– To były wspaniałe wyprawy. Lubiliśmy je z bratem. Poznaliśmy grzyby, zresztą te zebrane przez nas zawsze przeglądali rodzice. Podczas tych wypraw sporo rozmawialiśmy ze sobą. Tata opowiadał nam o drzewach, przyrodzie, to były niesamowite lekcje biologii – wspomina Anna. Pamięta radość z każdego znalezionego grzyba, te kapelusze wystające z mchu, śpiew ptaków. I powroty do domu. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Mama obierała potem te grzyby godzinami. Część suszyła, ale robiła też słoiki. Nos wykrecało, bo po całym domu niósł się wtedy zapach octu, którego do dziś nienawidzi.

– Na studiach jakoś przeszła mi pasja zbierania grzybów, ale kiedy założyłam własną rodzinę, z przyjemnością do starych nawyków wróciłam. Na szczęście mąż też uwielbia wycieczki po lesie – śmieje się. Jeżdżą na grzyby od września, w każdy weekend, jeśli nie wyskoczy coś nieprzewidzianego. Uwielbiają to. Postanowiła połączyć rodzinne grzybobrania z piknikami. Zawsze bierze do samochodu jakieś smakołyki, koc, zawsze robią sobie w lesie dłuższą przerwę, żeby posiedzieć i pogadać.

– Niezwykle dużo dają mi te nasze grzybowe wyprawy. Bardzo ciężko z mężem pracujemy, dzieci oprócz szkoły mają sporo

dodatkowych zajęć. A to jest czas, który spędzamy razem. Poza tym, wyłączam wtedy głowę. Nie myślę o papierach, kontrahentach, o problemach, po prostu wypatruję prawdziwków, podgrzybków, maślaków – wylicza. No i jest wśród natury, gdyż ogródek przed domem to zdecydowanie nie to samo.

Dla bezpieczeństwa

Fachowcy radzą jednak, aby nie popadać w amok grzybobrania.

– Jeżeli nie znamy grzybów, to ich nie zbieramy, bo tak jest dla nas bezpieczniejsze, ponieważ grzyby jadalne mają swoje odpowiedniki, które są trujące. W związku z tym lepiej nie popełnić błędu i zbierać te, których jesteśmy pewni – mówił w rozmowie z TVN24 Paweł Bukowski z Nadleśnictwa Kolbudy w województwie pomorskim.

W razie wątpliwości można udać się do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. – Można skorzystać jeszcze z różnych pomocy naukowych czy też z aplikacji, atlasów grzybowych czy też z wydań papierowych atlasów, a być może z porady osób starszych, które już dłużej są na grzybach i mają większą wiedzę od nas. A jeśli rzeczywiście chcemy poznać nowego grzyba, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go dostarczyć do stacji sanitarno-epidemiologicznej, podpytać fachowców. Tam nam powiedzą więcej – tłumaczył leśnik.

Początkujący grzybiarze powinni raczej zbierać grzyby rurkowe niż blaszkowe. Jeśli jednak po ich spożyciu poczujemy się źle – będziemy mieli nudności, wymioty, gorączkę – trzeba niezwłocznie zgłosić się do lekarza.

Kolejna sprawa: rozeznanie terenu. Przed samym rozpoczęciem zbierania grzybów zorientujemy się, w jakim miejscu jesteśmy, skąd przyszliśmy. Obserwujemy Słońce, jeśli jest widoczne, i teren, po którym się poruszamy. W lesie są linie oddziałowe, drogi, kamienie graniczne czy słupy energetyczne, często ponumerowane. One mogą posłużyć za punkty odniesienia.

I wreszcie – zabezpieczmy się przed kleszczami.

Jacek w końcu wypełnił lodówkę, wyszorował podłogi i w sobotę pojechał na grzyby. Ruszył pod Siedlce. Zna te lasy. W niedzielę chwycił koszyk i pognął do zagajnika za domem. Zbiór może nie powalał z nóg, ale zrobił przepyszny sos z maślaków i dwa słoiczki marynowanych podgrzybków.

– Niech jeździ! – pacha ręką Marta. I wylicza plusy: trochę pochodził po lesie, był na świeżym powietrzu, odstresował się, wyciszył, a te kilka tysięcy kroków też mu wyjdzie na zdrowie. I będzie miał o czym gadać z kolegami, bo wszyscy to zapaleni grzybiarze.

Ulica 10 Maja w Głogowie. Ba. Uliczka. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Tak mówi ostatni raport demograficzny z 21 grudnia 2024 roku.

Po jednej i drugiej stronie domy pamiętające czasy przedwojennego Głogau: wolnostojące, bliźniaki, ale jest też kilka, w których na każdym piętrze mieszka inna rodzina: niekiedy dwie, niekiedy trzy. Domki ładne, zadbane. Każdy z ogrodem. Sporym: trawnikami, drzewami ozdobnymi i owocowymi („Czereśnie są przepyszne – szpaki zlatują się do nich z całej okolicy” – uśmiecha się pani Eugenia Rudkiewicz spod jedenastki, której czereśnia w tym roku bardzo obrodziła).

Ta mała droga łączy spokojniejszą ulicę Fryderyka Chopina, z ruchliwszą ulicą Tadeusza Kościuszki, przy której stoi miejski szpital.

już po przejściu miasta przez Polaków – opowiada Andrzej Ruebenbauer, który przy 10 Maja mieszka od urodzenia, w domu pod numerem pięć.

- Jak to się stało? – dopytuję.

- Nie wiem, ile w tym prawdy, a ile legendy, ale opowiem: działo się to 10 maja, w dniu uroczystym, kiedy burmistrz Hoinka otrzymał symboliczne klucze do miasta od dowódcy wojsk radzieckich, tych wojsk, które wyzwoliły Głogów. Uroczystość była w ruinach Starego Miasta. I burmistrz Hoinka, w dowód wdzięczności, sprowadził z pobliskiej Kotli całą cysternę bimbru, i podarował ją radzieckim żołnierzom. A Ruscy, jak popili, to strzelali na oślep, a na koniec zabawy podpalili ten jeden, nieszczęsny dom na naszej ulicy – wspomina.

Do 1945 roku przy dzisiejszej 10 Maja mieszkali urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy.

Niemiecka pościel leżała jeszcze na łóżku

Jednymi z pierwszych, którzy zamieszkali przy 10 Maja, była rodzina Andrzeja Ruebenbauera.

- Odkąd pamiętam, żyliśmy z innymi sąsiadami z ulicy jak w jednej, wielkiej rodzinie – uśmiecha się pan Andrzej.

Był nauczycielem w szkole samochodowej. Ale tylko do sierpnia. Przez wszystkie lata pracy wykształcił w Głogowie setki mechaników – można więc powiedzieć, że każde auto w mieście widziało się kiedyś z jego absolwentem. Ale teraz koniec – zdrowie na dłużej nie pozwala.

Jego rodzice, kiedy wprowadzili się pod piątkę, wspominali, że „jeszcze pościel leżała na łóżkach”. Niemcy zostawili wszystko to, czego nie mogli zabrać: mebli, ale też innych rzeczy codziennego użytku.

sną 1939 roku urodziło się siódme (...) Po drugiej stronie domu mieliśmy duży ogród. Uprawiane były na nim różne warzywa. Była też stajenka dla naszej Kariny (...)

Andrzej Ruebenbauer wspomina: - Mój ojciec – przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był z Poznańskiego, ale do Głogowa przyjechał wprost z obozu pracy na Węgrzech, w którym był w czasie wojny. W Głogowie został kierownikiem urzędu, który zajmował się osiedlaniem repatriantów. Miał wykształcenie rolnicze, potem pracował więc aż do śmierci w głogowskiej cukrowni. Mama zajmowała się domem. Ja urodziłem się już tutaj, w Głogowie, i od dziecka mieszkam na 10 Maja. Całe życie tu spędziłem, patrzyłem, jak ta nasza ulica się zmienia. Do lat 70. było tu tak, jak tuż po wojnie. Potem niektórzy starszy sąsiedzi zaczęli umierać, ich dzieci powyjeżdżały, pojawili

sprowadzali się w ostatnich latach starsi ludzie – dla wygody, bo nie ma schodów. Są też nowi sąsiedzi, młodzi, z dziećmi – jak Bogumiła Szlifierz spod trójki (wcześniej przez całe lata w jej domu mieszkał autor książki „Mieszkam koło szpitala...” – Wiesław Maciuszczak).

Ten dzień to wielkie święto sąsiedztwa, dobrego sąsiedztwa

Pani Bogusia zaprasza nas do mieszkania.

- Ostrożnie, na samą górę, niech pan uważa, bo schody stare, drewniane, strome – ostrzega. Siadamy przy kuchennym stole, pani Bogusia parzy herbatę, na paterze lądują trzy rodzaje ciasta.

- Bogusia jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale ile ona dla nas i dla ulicy dobrego zrobiła! To ona

tekst *Robert Migdał* Dziennikarz „Gazety Wrocławskiej”, reportażysta, autor wielu książek i wywiadów



JEDNEGO SĄSIADA BRAKUJE. NO ALE ON MA KRASNALE W OGRODZIE I WIELKIE NOŻYCE NA ŚCIANIE, WIĘC Z NIM NIGDY NIE WIADOMO, PEWNIENIE KIEDYŚ SIĘ PRZEŁAMIE

Nie pierwszego, nie trzeciego, ale dziesiątego. Dlaczego?

Ulica 10 Maja. Dziwna nazwa. Skąd się wzięła? Tak to wyjaśnia w swojej książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, historyk, były mieszkaniec tej ulicy: „Zaproponował ją – w 1945 roku – Adam Królak, jeden z nowych mieszkańców Głogowa, bo tego dnia niemiecki Glogau stał się polskim Głogowem. Nazwa jest więc na pamiątkę przekazania władzy cywilnej w mieście polskiemu burmistrzowi”.

A burmistrz Eugeniusz Hoinka zapisał we wspomnieniach: „10 Maja 1945 roku, o godzinie 10.30 w imieniu władz polskich przejąłem miasto wraz z resztą ludności niemieckiej oraz rannymi jeńcami niemieckimi”.

Domy przy wtedy jeszcze Herderstrasse, nazwanej tak na cześć niemieckiego pisarza Johanna Herdera, przetrwały oblężenie Głogowa – Twierdzy Głogów, czyli Festung Glogau – zimą 1945 roku. W większości nienaruszone.

- Jedyne domy na ulicy zostały zniszczone nie w czasie Festung Glogau, ale

„Każdy dom posiadał od ulicy kwietnik, na niektórych posadzono ozdobne drzewa. Potężne modrzewie i świerki rosły do niedawna przed nr 2, 8 i 9, a przed nr 3 – okazała czereśnia. Za budynkami z obu stron urządzono ogrody warzywne. Rosły tam również drzewa i krzewy owocowe. W komórkach i w specjalnych budowlach, hodowane były zwierzęta. Niektóre mieszkania centralnie ogrzewane, inne były ogrzewane piecami kaflowymi. Wszędzie były toalety i łazienki. Doprowadzona energia elektryczna. Nie było tu jeszcze gazu” – czytamy opis niemieckich domostw w czterostronicowym wydawnictwie okolicznościowym zatytułowanym „Wehikuł czasu” (odbitka na ksero, na zwykłym papierze – ale w kolorze. Skarbnica wiedzy – w pigułce – o historii ulicy).

Tuż po tym, jak Głogów stał się polskim miastem, „co odważniejsi osadnicy zaczęli zajmować domki willowe, remontowali je na własną rękę (...) Część budynków oddano do dyspozycji instytucjom i urzędom, by zapewnić mieszkania niezbędnym dla miasta fachowcom” – to kolejny opis ze wspomnianej wyżej broszurki.

- W moim domu mieszkali za Niemca dwaj bracia z żonami i dziećmi. Jeden na górze, drugi na dole. Przedsiębiorcy: jeden z nich miał odlewnię żeliwa i nawet są jeszcze w mieście studzienki ściekowe, na których jest napisane „Glogau” – to on je zrobił. Drugi prowadził fabrykę kafla na piec. Mam piec z tymi kaflami do dzisiaj. Nie zdemontowałem przez tyle lat, bo jest ładny – został tylko na pamiątkę, bo ogrzewanie mam już gazowe – wspomina Ruebenbauer.

Jedną z dawnych mieszkanek przedwojennej ulicy 10 Maja, która po latach odwiedziła miejsce swojego dzieciństwa, była Dorotea Voigt de Vara. Przyjechała na spotkanie do swojego Głogau w 2018 roku. I jak pisze w książce „Mieszkam koło szpitala...” Wiesław Maciuszczak, „podzieliła się okrucami pamięci”:

„Dom przy ulicy Herderstrasse 10 w Głogau zbudowany został w 1938 roku (...) Mój ojciec, Karl Voigt, był dyrektorem banku. Wprowadziliśmy się do mieszkania najprawdopodobniej w tym albo w następnym roku (1939). Rodzice mieli sześćro dzieci, a wio-

się nowi lokatorzy. Remontowali domy, przerabiali je po swojemu. Ja swojego do dzisiaj nie ociepiłem styropianem, wolę, by wyglądał tak, jak po wojnie.

Mieszkańcy cenią sobie spokój („niby w mieście, a jak na wsi”) i że wszędzie jest blisko („i szpital za rogiem, kościoły, autobus niedaleko”).

- No i zakład pogrzebowy mamy na naszej ulicy, najstarszy w całym mieście, bo jeszcze w latach 50. ojciec obecnego właściciela miał zakład stolarski i meble produkował. Meble i... trumny. Coś dla żyjących i coś dla tych, co odeszli – kiwa głową pan Andrzej.

Pokazuje dom naprzeciwko. - O, tu umarła nasza wieloletnia sąsiadka, córka odziedziczyła, sprzedała i poszła sobie gdzieś pod Warszawę. Niektórzy nie chcą w tych starych domach mieszkać, wolą nowe bloki. Nie patrzą na to, że dom to nie tylko cztery ściany, że też otoczenie, ludzie, koło których się żyje i z którymi się żyje. Dla mnie to wielka wartość. Ja bym się z 10 Maja nie wyprowadził – zaklina się Ruebenbauer.

Ulica się zmienia, ale jej puls wciąż mocno bije. Na partery domów po-

wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Ruebenbauer.

Bogumiła Szlifierz uśmiecha się skromnie pod nosem, nakłada na talerzyki babkę piaskową oraz ciasto z kremem i owocami. Krem znakomity, a babką, choć ma rodzinę, też się częstuje. Gdy chwałę wypieki, mówi: - Sama nie piekłam, to kupne, ale ze sprawdzonej cukierni.

A potem zaczyna opowiadać.

- Gdy się tu wprowadziłam, zastanawiałam się, dlaczego ta ulica ma taką nazwę. No i kto tu mieszka, kim są moi sąsiedzi, co robią, jakie mają pasje? Chciałam poznać ich historie, historie ich rodzin, historie poprzednich lokatorów.

- Po co? – pytam, może trochę zbyt obcesowo.

- Zaciekała mnie przeszłość tego miejsca. Zaczęłam pytać – najpierw najbliższych sąsiadów, potem tych dalszych: jak to było kiedyś. I wtedy wpadłam na pomysł, żeby zebrać wszystkich i usiąść z nimi przy jednym stole. Wielkim stole, ustawionym na środku ulicy! I porozmawiać, powspominać. Chciałam, żeby moi sąsiedzi wyszli

z domów, żeby się otworzyli bardziej jeden na drugiego, żeby każdy opowiedział, co go trapi, boli, co mu się podoba, a co nie. Żeby wyciągnąć starszych mieszkańców z ich czterech ścian, z samotności. I zintegrować tych starszych z młodszymi.

Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna.

Taki był finał wielomiesięcznych przygotowań. Najpierw pani Bogusia sama chodziła od domu do domu, pytając, czy zgadzają się na świętowanie imienin ulicy i co sądzą o tym pomysłe („Tym, których nie zastałam w domu, wrzucałam kartkę z informacją do skrzynki pocztowej” – wspomina). Potem zorganizowała spotkanie mieszkańców – przyszli prawie wszyscy (zabrakło jednego sąsiada). Gdy jednogłośnie przyjęto jej pomysł, ruszyła lawina pism (zgoda na zamknięcie ulicy od miasta, wysyłanie zaproszeń – do byłych i obecnych mieszkańców, do proboszcza, do radnych, prezydenta). Gdy uporała się z papierami – poszło jak z płatka. Nie obejrzała się i był maj. Ulica zamknięta, na środku stoły przykryte – elegancko – obrusami.

Stoły i krzesła wyciągnęli ze swoich domów, wszyscy pomagali nosić. Na nich wyładować imieninowy tort, obok – ciasta i soki, żadnego alkoholu. Kwiaty w doniczkach.

Imieniny można zacząć, jeszcze tylko ostatni sznyt. Pani Bogusia wieśsza kolorowe trójkątki na płotach („wcześniej były balony, ale powie-trze z nich schodziły i wyglądało to źle”), pilnuje dostawy stołów i żeby były obrusami przykryte (ma być elegancko!).

I tak już jest każdego roku. Zawsze w maju. Zawsze dziesiątego.

Atmosfera jest rodzinna. Są chwile wzruszenia („kiedy wspominamy tych, których już z nami nie ma”) i łyż radości („kiedy się spotkamy z kolegami, sąsiadami, przyjaciółmi niewidzianymi od lat”). Ale też i śmiech: „kiedy opowiadamy sobie historie sprzed lat – jak tę tragiczno-śmieszną, kiedy jeden z sąsiadów wyskoczył przez okno, ale się nie zabił, bo spadł na drzewo owocowe pod oknem i gałęzie zamortyzowały upadek”) – słucham coraz dziwniejszej opowieści.

- I co z nim teraz?

- Dawno się wyprowadził, mieszka na drugim końcu Polski, w Lublinie, ale często odwiedza Głogów. Przyjeżdża do nas na 10 Maja.

- Wspominamy też dawnych mieszkańców ulicy, opowiadamy tym, którzy tu teraz mieszkają – kim byli ich sąsiedzi, kto wcześniej mieszkał w ich domach. To ważne, bo pamięć bywa ulotna – mówią zgodnie i dodają: - Te spotkania są budujące. Dodają nam jakiejś takiej energii na cały rok. I chyba po każdym bardziej się z sąsiadami lubimy, choć wydaje się, że bardziej się już lubić nie da. Ludziom spodobała się taka forma integracji. - Głogowanie zaczepiają mnie na ulicy: „Pani Bogusiu, czy na pewno w przyszłym roku będzie to święto na ulicy?”. Więc chyba im się podoba – mówi pani Bogusia.

Organizuje imieniny od początku do końca. Dbą o wszystko, począwszy od stołów, poprzez catering, na ulicznym grajku skończywszy. Organizacja takiej imprezy to koszty, ale...

- Znalazłam sposób – uśmiecha się pani Bogusia. - Napisałam projekt, żeby otrzymać pieniądze z budżetu obywatelskiego. Spodobał się w całym Głogowie. Nawet ludzie z innych części miasta głosowali na nasz pomysł. I dostaliśmy pieniądze. I w tym roku też składamy wniosek do budżetu – dodaje. Sama chodzi od domu do domu, zbiera podpisy.

- Wieczorem zmęczenie jest ogromne, ale i satysfakcję trudno opisać. To jest taka radość w sercu: że ludzie przychodzą, że się im podoba – mówi pani Bogusia.

Mieszkańcy ulicy, głos zbiorowy, niczym chór: - Doceniamy bardzo to, co Bogusia robi dla nas. Że nas tak integruje. Że dzięki niej bycie sąsiadem to nie jakieś slogany. Że to ma wartość. Że dzięki niej nie dzielimy się tylko pomidorami, które nam na działce obrodziły, ale swoim życiem – radościami, problemami. Te rozmowy są bezcenne. Budują wspólnotę. Taką naszą, maleńką, na jednej ulicy – dodają.

Wspólnota nie składa się na organizację imienin – każdy, kto przychodzi, przynosi coś ze sobą: czy to ciasteczka, czy ciasto upieczone, może być też kupione, ktoś zrobi herbatę, ktoś inny przyniesie kawę, kolejny wodę. Jak u cioci na imieninach.

Świętują i obecni mieszkańcy ulicy, i dawni, którzy zjeżdżają tego dnia choćby z Zielonej Góry, Lublina czy Wrocławia, przychodzą też osoby z pobliskich ulic i z najdalszych zakątków Głogowa. Przy jednym stole siadają i dzieci, i dorośli, w tym historycy – ciekawi wspomnień mieszkańców. Nie może zabraknąć prezydenta Głogowa.

Jest jak w domu, młodszy usługują starszym, a to kawkę przyniosą, a to cukier podadzą.

- Nigdy nie było problemu, żeby jedna sąsiadka drugiej cukru pożyczyla, nawet jak była komuna. A sąsiad coś mocniejszego, gdy zabrakło w domu, a goście na progu – śmieją się mieszkańcy.

Andrzej Ruebenbauer zastanawia się chwilę: - Pamiętam jeszcze, jak w czasach PRL co sobotę była taka sąsiadzka tradycja na ul. 10 Maja: do mojej matki schodziły się sąsiadki, zносиły wszystkie potrzebne produkty, kto co miał w domu: mąkę, jajka, owoce, cukier i wspólnie piekły ciasta. Jak pachniało w całym domu!

- A czemu u was w domu odbywało się to pieczenie?

- Bo nie wszystkie panie potrafiły upiec, a moja mama tak. Uczyla je, pokazywała, co i jak, skończyła szkołę gastronomiczną.

Pani Bogusia dalej: - Chciałam, żeby na tych symbolicznych imieninach ludzie się nie tylko spotkali, zjedli i powspominali. Ale też, żeby to był taki moment pojednania, jeśli jacyś sąsiedzi są skłóceni ze sobą, to żeby podali sobie ręce na zgodę.

- Czyli nie tylko sielanka? – dopytuję.

- Mamy sąsiadów innej wiary, która nie pozwala im obchodzić imienin, urodzin i wspólnie świętować. Bo to ich zdaniem pogańskie zwyczaje. Ale szanują naszą nową, sąsiadzką tradycję, nie protestują, że ulica jest zamykana, a pod ich oknami ludzie imprezują. Dobrzy ludzie, spokojni sąsiedzi. Mają swoje zasady. My to szanujemy, choć inte-



Rok 1959. Atmosfera na ul. 10 Maja nie zmieniła się przez dekady

grować się w ten sposób z nami nie chcą. No i jest jeszcze jeden sąsiad na ulicy, który nikogo nie lubi.

- A jednak – nie chciałem, żeby to źle zabrzmiało, choć chyba tak właśnie zabrzmiało.

- I on nie chce mieć z nami, swoim sąsiadami, niczego wspólnego. Nic mu się nie podoba, niczego nie chce. Ale co roku liczymy na cud. Każdego roku go zapraszamy do wspólnego stołu, do wspólnego świętowania, do poznania się bliżej. Może kiedyś się przełamie, może kiedyś do nas wyjdzie.

Sąsiad, który nikogo nie lubi? Na ulicy, gdzie lubią się wszyscy? Idę do niego, ryzyk-fizyk, najwyżej przeklinie mnie albo wyśmiej, że zachwyam się 10 Maja.

Mały, zadbane dom. Równo przystrzyżony żywopłot, który zasłania ogród za domem przed oczami ciekawskich („On tam poustawiał mnóstwo krasnali ogrodowych, takich gipsowych, kolorowych” – opowiadają jego sąsiedzi).

Przed domem – na ścianie powieszane podkowy i wielkie, metalowe nożyce. Przy jednym z okien dziwna konstrukcja z dwóch luster: jedno skierowane na ulicę, obok drugie, które przechwytuje odbicie z pierwszego i w którym właściciel domu (nie pokazując się odwiedzającym) może zobaczyć, kto do niego przyszedł.

Przy płocie – dwie tabliczki „Uwaga! Zły pies”, choć nie słychać

żadnego szczekania, gdy podchodzę przed furtkę.

Zanim nacisnę dzwonek, muszę odgarnąć pajęczyny. Widać, że rzadko ktoś korzysta z przycisku. Dzwonię. Cisza. Nikt nie wychodzi. Nie reaguje. Przychodzę pod dom pana Stanisława czterokrotnie, w różnych porach dnia. Bez skutku. Nie ma z nim kontaktu.

- Z nim już tak jest. Nie otwiera nikomu. Samotnik. Kiedyś to jeszcze okno uchylił i rzucił „Złym słowem” – mówią mieszkańcy.

- „Złym słowem”?

- No, żeby odejść, ale mówił to w wulgarny sposób... Dziś tylko patrzy przez te swoje lusterka i nikomu nie otwiera.

Szkoda, bo byłem bardzo ciekawy: Jak postrzega swoich sąsiadów? Dlaczego się od nich izoluje? Czy stoją za tym jakieś niesnaski z przeszłości?

Na ulicy nóżka chodzi

Dla dzieci dzień imienin ulicy to raj. Tego jednego dnia mogą się bawić, bezpiecznie, na środku ulicy. Malować kredą, pograć w piłkę od płotu do płotu, bez obawy, że coś nadjedzie. Jest wesoło.

No, i jak to na imieninach, jest muzyka. Przez lata przychodził profesjonalny muzyk, rozkładał organy elektroniczne i grał. W tym roku był DJ. Kto ma ochotę, może potańczyć na środku ulicy. - Ludzie czują rytm, podrygują, nóżka im chodzi. I wychodzą na śro-

dek ulicy. I tańczą. Cudowny widok – śmieją się mieszkańcy.

Pani Bogusia zapewnia, że te wszystkie zachwyty wcale nie są na potrzeby mediów. - Dowód mam – kładzie na stole ciężką, oprawioną na bordowo, księgę pamiątkową, w której co roku wpisują się goście.

Pani Bogumiła napisała na stronie tytułowej: „Kochani! Z całego serca dziękuję za waszą obecność i udział w obchodach imienin ulicy 10 Maja. Oddaję w wasze ręce tę księgę, w której proszę Was o pamiątkowe wpisy. Każdy będzie na wagę złota”.

Różne kolory długopisu, różne charaktery pisma:

„Wychowałam się na tej ulicy od trzeciego tygodnia życia do dorosłości. Nappełniłam bez troską, radością, spokojem i atmosferą wspólnoty sąsiedzkiej. Wyniosłam to w swoje dorosłe życie. Ulico, sąsiedzi, koleżanki – dziękuję”.

„Bardzo się cieszymy, że jesteś częścią tej pięknej ulicy i społeczności bardzo życzliwych sąsiadów (...).” „Świetna inicjatywa dla obecnych i byłych mieszkańców 10 Maja”.

„To fantastyczna sprawa”.

„Pomysł bardzo oryginalny, godny naśladowania i kontynuacji”.

„Superdoskonała wycieczka historyczna po ul. 10 Maja”.

„Dziękuję za zorganizowanie święta mojej ukochanej ulicy 10 Maja. Dziś jestem tu z synem Wojtkiem i wnuczką Olusiem. Moja mama Irena niestety już odeszła...”

„To możliwości poznania fantastycznych ludzi”.

„Mamy szczęście mieszkać na najpiękniejszej ulicy w Głogowie”.

„Drodzy sąsiedzi. Dziękujemy za wspólne biesiadowanie na naszej pięknej ulicy. To wyjątkowe wydarzenie (...) Niech najmłodszy uczyć się od naszych najstarszych tradycji”.

„Ja chodziłam tą ulicą od września 1976 do marca 2008 do pracy do szpitala”.

Dom nr 9. Śliczny, zadbane. Właśnie tu mieszkają Teresa i Lucjan Koch.

Klimatyczne mieszkanie na parterze – na ścianach obrazy biją po oczach soczystymi barwami. W powietrzu czuć farbami pomieszanymi z zapachem roślin zlanym deszczem. Intensywny zapach wpada przez otwarte okno.

- Dobrze, że pada. Bo sucho w ogrodzie strasznie.

- Niech pan siada, kurtkę ściągnie, porozmawiamy. O sąsiadach z ulicy? Chętnie i od razu panu powiem, że ludzie z innych części miasta nam zazdroszczą. Tak, tak. Zazdroszczą. Że sąsiedzi mogą tak funkcjonować obok siebie. Na zamkniętych osiedlach, w anonimowych blokach, wieżowcach – ludzie się nie znają. Nie to co u nas... – mówi pani Teresa, malarka.

Jej mąż Lucjan (przez wiele, wiele lat lokalny przedsiębiorca – prowadził m.in. najbardziej znany sklep z ekskluzywnymi ubraniami w mieście) dodaje:

- Ja żyję tu od 1960 roku. Wtedy moi rodzice kupili ten dom. Miałem 20-letnią przerwę po ślubie, ale wróciłem: mama umarła, ojciec został sam. Trzeba było się nim zaopiekować. Mieszkał z nami jeszcze 14 lat.

dokończenie na stronie 16



Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku – jakże inaczej, data nie mogła być inna



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ulica 10 Maja, kilka lat po wojnie. Dzieci wychowywały się wspólnie

dokończenie ze strony 15

- Dobrze nam tu. Nikt na nikogo krzywo nie patrzy, nikt na nikogo złe nie mówi. Wprowadziło się na naszą ulicę wielu młodych ludzi, to dobrze. To bardzo otwarci sąsiedzi. Otwarte umysły. Świeże. Z jedną z sąsiadek mamy wspólną pasję: rośliny, wymieniamy się nawet sadzonkami. Jak trzeba, to i sąsiadce dziecko można przypilnować, jak w potrzebie jest i musi coś gdzieś szybko załatwić. I sąsiadce, co sama mieszka, w życiu codziennym pomóc, bo dzieci daleko - mówi pani Teresa. Pomoc działa w dwie strony. - Mąż wiele razy prosił któregoś z młodszych sąsiadów o pomoc: żeby przyszedł, coś mu pomógł przynieść.

Nigdy nikt nie odmówił - wspomina Teresa i dodaje: - Uważam, że trzeba być otwartym na drugiego człowieka, empatycznym. To procentuje. Jeśli lubisz ludzi, to ludzie lubią ciebie. Nie ma szans, żeby się nie porozumieć.

- Nie ma problemu, że sąsiad do sąsiada, bez umawiania się z wyprzedzeniem, bez zapowiedzi telefonicznych, wpadnie pogadać, zobaczyć co słychać. I nie ma jakiejś wrogości, dystansu. Mamy najbliższych sąsiadów innej wiary. No i co z tego? Dla nas nie ma to znaczenia. Ważne, jakim jest człowiekiem i sąsiadem - mówi pan Lucjan i dodaje: - Ja mówię mojemu sąsiadowi, co z boku mnie mieszka: „Sąsiad nie jest potrzebny bez przerwy, cały czas. Ale ważne jest to, że jak jest potrzebny, to jest obok. I pomoże”.

- Lucjan i Teresa są bardzo życzliwi, przyciągają ludzi - rzuca przysłuchująca się rozmowie pani Bogusia. - To nasze papużki-nierozłączki. Cudownie na nich patrzeć, jak się wspierają.

- Oj tak, mąż mnie wspiera. Bardzo. Zwłaszcza kiedy jakiś obraz namaluję na ciężkiej płycie i trzeba go przenieść - uśmiecha się Teresa.

Jej obrazy wiszą w całym domu. Piękne. Jedne w ramach, ale głównie bez: samo płótno naciągnięte na ramy.

Kolorowe postaci w różnych pozach i strojach (przeważają kobiety) przyciągają uwagę. Feeria barw. Uderza z nich niesamowita, pozytywna energia. Coś jak połączenie Pabla Picassa i Salvadora Dalego. Ale jednak widać oryginalny styl pani Teresy.

Ulubione obrazy pokazała sąsiadom podczas ostatnich imienin ulicy. Te ulubione. Porozwieszała je na płocie.

Najwięksi uwagę przyciągał portret kobiety w zielonej sukni. Tajemniczy, z dziwnymi postaciami w tle.

- Dla żony-artystki, która maluje obrazy, to dobre miejsce. Tu może być kreatywna. Może spokojnie tworzyć - mówi Lucjan.

- A ja niekiedy myślę sobie, że nawet tu za cicho jest. Wolałabym, żeby trochę szumu było: żeby dzieciaki biegały po okolicy, trochę hałasowały - dodaje pani Teresa.

Na 10 Maja mieszka sporo osób samotnych, ani dzieci, ani wnuków na miejscu nie mają. Sąsiedzi są bliskimi.

- Wiemy, jak ktoś dłużej choruje, to od razu zakupy zrobimy, po leki ktoś poleci, albo coś innego załatwić. Sąsiad jest cudownym lekiem na samotność - mówią mieszkańcy 10 Maja.

Ponad 80 procent Polaków deklaruje: nie unikamy sąsiadów

„Polacy w ogromnej większości twierdzą, że są otwarci na kontakty sąsiedzkie” - czytamy w telefonie zdanie z badań „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzonych przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS) i patrzę na reakcję pani Bogusi, która razem ze mną odwiedziła małżeństwo Kochów. Potem podrzucam jeszcze trochę suchych faktów, bo chcę wiedzieć, jak teoria ma się do praktyki: „Ankietowani utrzymują, że nie unikają sąsiadów, nie izolują się od nich (84%), więcej nawet - w miarę możliwości starają się nawiązywać z nimi kontakty, pozdrawiając, zamieniając kilka słów czy rozmawiając z napotkanym sąsiadem (88%). Zdecydowana większość badanych twierdzi, że ma życzliwych, dobrych sąsiadów, na których w razie potrzeby mogliby liczyć (80%). Jednocześnie jednak sąsiedzkie relacje większości Polaków zdają się mieć przede wszystkim konwencjonalny, grzecznościowy charakter, a prawie trzy piąte badanych przyznaje, że w relacjach z sąsiadami starają się postępować tak, by nikt z nich nie miał do nich pretensji, ale trzymają się na dystans (57%).

Pani Bogusia: - Taka wspólnota, jak u nas, jest rzadkością. W wielkich mia-

stach, w blokowiskach jest gorzej. A na zamkniętych osiedlach? Dramat! Jak sąsiedzi są ze sobą na „dzień dobry” - to już sukces.

- Z perspektywy socjologicznej, dobre relacje sąsiedzkie mają bezpośredni wpływ na kapitał społeczny, zasób oparty na zaufaniu i współpracy, który decyduje o jakości życia, a także o poziomie bezpieczeństwa i solidarności w danej społeczności. Tam, gdzie ludzie się znają, rośnie skłonność do pomagania, spadają poziomy anonimowości i obojętności - wyjaśnia dr Barbara Kilińska, adiunkt Wydziału Nauk Stosowanych z Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW i dodaje: - Relacje sąsiedzkie wymagają zaangażowania, czasu i kultury dialogu. Współczesny styl życia, mobilność, tempo pracy, cyfrowa komunikacja często osłabiają potrzebę nawiązywania kontaktów z osobami „zza ściany”. Warto więc odzyskać świadomość, że sąsiad to nie tylko współlokator budynku, ale potencjalny sojusznik, przyjaciel, czasem nawet „rodzina z wyboru”. Właśnie w tych lokalnych więziach rodzi się realna demokracja i troska o otoczenie.

- Czyli bardzo poważna sprawa, choć rodzi się z prostej życzliwości - zagaduję.

- Gdy panuje życzliwość i wzajemna troska, przestrzeń ta staje się bardziej przyjazna, bezpieczna i estetyczna. Wówczas chętniej się w niej żyje, pracuje i wychowuje dzieci. Coraz częściej mieszkańcy inicjują sąsiedzkie wydarzenia: wspólne święta ulicy, lokalne obchody, pikniki czy spotkania integracyjne na podwórkach i placach. Tego typu inicjatywy sprzyjają nawiązywaniu relacji, ułatwiają rozmowę i przełamują codzienną anonimowość. Niekiedy już samo zorganizowanie prostego spotkania na świeżym powietrzu, staje się okazją do poznania się i zbudowania podstawowego zaufania.

Nie bez znaczenia jest też aspekt wychowawczy, dzieci uczą się postaw społecznych przez obserwację dorosłych. Jeśli widzą, że ich rodzice witają się z sąsiadami, pomagają im i angażują się w życie wspólnoty, wchłaniają te wartości jako coś naturalnego. Tak kształtuje się obywatelskość od podstaw.

Pół wieku temu, jak i teraz

Pani Bogusia mieszka w domu (pod trójką, przypomnijmy), w którym na parterze przez wiele lat żył i przyjmował pacjentów znany glogowski lekarz, chirurg Tadeusz Sulicki (blok operacyjny glogowskiego szpitala nosi jego imię). Już za jego czasów wspólnota międzysąsiedzka na 10 Maja miała się świetnie.

- To był sąsiad! - wspomina pan Andrzej. - Przyjechał do Głogowa w latach 60.

We wtorek i w piątek przyjmował prywatnie: w gabinecie. Ludzi była masa: z całego Głogowa przyjeżdżali, spod Głogowa furmankami, a potem dowody wdzięczności pacjentów biegały po podwórku: kury, gęsi, kaczki.

- Moja mama miała z doktorem taki układ sąsiedzki - przychodził do niej i pytał: „Pani Wando - gąska czy kaczka?”. Bo sam oskubać i ubić nie potrafił. A może nie lubił. I mama jednego ptaka dla doktora oporządzała, a drugi był dla nas - opowiada pan Andrzej i wspomina:

- Doktor to był człowiek wielu pasji. Młodzię lubił. O historii nam opowiadał. Tej prawdziwej, nielegalnej, o Katyniu, o zbrodniach radzieckich. Miał wielkie poszanowanie, posłuch wielki. Nikt nawet nie pomyślał, żeby na niego donieść. A i swoimi pasjami nas, dzieciaków z 10 Maja, zarażał. Co niedziele nas do kina Bolko zabierał na seanse. Filmy o Indianach oglądaliśmy. Pamiętam, że niekiedy w czasie filmu wchodziła na salę bileterka, pani Majewska, i mówiła: „Pan Sulicki proszony do wyjścia. Pilny przypadek. Karetka już czeka przed kinem”.

Jak kupił sobie auto, piękną Warszawę, to pakował dzieciaki z sąsiedztwa do środka i wioził nas nad wodę, na Glinianki na Paulinów. A od sąsiadów za wizyty lekarskie nigdy pieniędzy nie brał. Gdy któryś z sąsiadów chciał mu zapłacić, mówił: „A w dupę mam cię kopnąć?”.

Pan Andrzej dodaje też, jak z zakładu pogrzebowego (był dokładnie vis-a-vis domu chirurga) wychodziła właścicielka i żartowała przez ulicę: „Tadziu, przysłałbyś jakiegoś klienta do mnie, a nie wszystkich tylko bierziesz dla siebie”.

Jak doktor Sulicki po sąsiedzku życie ludzkie ratował. Sam Bross był pod wrażeniem

Czuję, że o doktorze mieszkańcy mówić mogą bez końca.

Obok ul. 10 Maja, ciągnie się ulica Chopina. Mieszkała tam rodzina: matka, ojciec i czwórka dzieci, trzy córki i syn. Rok 1965.

- My, dzieciaki, bawiliśmy się w tym czasie najchętniej w wojnę. A w Głogowie sporo było jeszcze broni, niewypałów, niewybuchów, granatów poukrywanych, które potrafiliśmy znaleźć. I pewnego dnia ten jeden, jedyny syn przyniósł do domu pocisk. Wiele rodzin nie miało ciepłej wody, łazienek. Oni też nie. Grzali wodę do kąpieli w środku kuchni. I ten chłopak, pach, ten pocisk w ogień wrzucił. I czekał co będzie - wspomina pan Andrzej.

Wybuch był straszny. Chłopaka na miejscu zabiło, a jedną z jego siostr odłamki poraniły okropnie. Ojciec chwycił ranną córkę i na rękach zniósł ją do karetki, która na sygnale pognęła do szpitala. Dziewięta wieczór, sprowadzono doktora Sulickiego. Mieszkał kilkanaście metrów od szpitala.

Nie miał takiego sprzętu i aparatury, jak dzisiaj. Operował, odłamki powyciągał. Nie ruszył tylko jednego,

dużego, który utknął przy sercu. Bo gdy próbował go ruszyć, serce natychmiast przestawało pracować. Zaszył pacjentkę i wysłał ją na konsultację do Wrocławia. Zbadał ją sam profesor Wiktor Bross, ikona medycyny, pierwszy, który w Polsce przeprowadził operacje na otwartym sercu. Prof. Bross stwierdził: „Tu nic więcej robić nie wolno. Ten lekarz z Głogowa zrobił wszystko to, co trzeba i dobrze, że tego odłamka nie wyciągał, bo gdyby go ruszył, to pacjentka by już nie żyła”.

- I niech sobie pan redaktor wyobrazi, że ta dziewczyna, dziś starsza kobieta, żyje! Urodziła dzieci, mąż już jej umarł, a ona żyje nadal - pan Andrzej nie może wyjść z podziwu.

„Po co ma pan chować w grobie dwójkę dzieci osobno?”

Co się dziś dzieje z tą dziewczynką, cudem ocalałą w wybuchu? Gdzie jest teraz? Jak wspomina ten tragiczny czas? Janka wtedy miała 16 lat. Dzisiaj - 76.

„Kiedyś mieszkała na drugim piętrze, w starym domu, obok był garaż” - mówi mi przez telefon pan Andrzej. - „Bym pana zaprowadził, ale w szpitalu wyładowałem, podleczyć się muszę”.

Chodzę pobliską ulicą Chopina, gdzie Janka mieszkała 60 lat temu. Od domu do domu - wybieram tylko te stare, ponemieckie. Do drzwi nowych budynków nawet nie pukam.

W większości domów nikt nie otwiera. Ci, którzy są w mieszkaniach - nie kojarzą wybuchu sprzed lat, ani dziewczynki, która ocalała. Nie dziwię się - to głównie młodzi ludzie.

W jednym z domów - dwa mieszkania. Dzwonię pod dwójkę („Janka mieszkała na piętrze”).

Otwiera starsza, szczupła kobieta. Uśmiecha się: „Kogo pan szuka?”.

Ubrana jest w letnią sukienkę, z lekkim dekoltem. Na piersi widzę bliznę, która biegnie prawie od szyi w dół, w okolice serca.

- Szukam pani Janiny, która mieszkała tu jako młoda dziewczynka: Janka Wagner... - pytam, choć jestem pewien, że już ją odnalazłem.

- To ja - odpowiada kobieta. - To mnie 60 lat temu ocalił doktor Sulicki i jego zespół. Do końca życia będę mu wdzięczna. Niech pan wejdzie - dodaje i zaprasza do mieszkania na piętrze.

Siadamy w pokoju, przy stole nakrytym białym obrusem. To w tym miejscu wydarzyła się przed laty tragedia.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Mieszkańcy wspominają, że zawsze żyli z sąsiadami jak w rodzinie

- A że mnie pan tu znalazł, to dopiero niespodzianka. Wiele lat tu nie mieszkałam. Wyprowadziłam się stąd na osiedle Kopernik z mężem. Ale wróciłam tutaj, do mieszkania rodziców, po latach. Na starość.

Wspomina: - To był 25 stycznia 1965 roku. Szedł mi 16. rok życia, urodziny mam we wrześniu. Nie wiedziałam, że coś wybuchło. Myślałam, że wysiadł prąd, bo był wielki błysk i nagle zrobiło się ciemno. Nie straciłam przytomności: pamiętam widok zakrwawionego brata, który leżał oparty o drzwi, pamiętam ból, jaki mi rozrywał prawy bok, i to, że leżałam na podłodze i chciałam podsunąć sobie stołeczek, żeby na nim usiąść, ale siły nie miałam. I tatę pamiętam, jak mnie trzymał na rękach i tulił. I to, jak strasznie płakał.

I pamiętam doktora Sulickiego, bo to doktor z ulicy obok, który był przy mnie, który ze swoimi ludźmi mnie ratował.

- Ta blizna na piersi to ślad po tym wybuchu? - dopytuję.

- Nie. Tu mnie cięli lekarze z Wrocławia, już później. Doktor Sulicki mnie operował od prawej strony - bo dwa odłamki uderzyły mnie w prawy bok. Rozerwały płuco i doszły w okolice serca. Jeden zdołali wyciągnąć, drugiego - który utkwiał w osierdziu prawej komory serca - nie udało się ruszyć. A próbowali. Trzy razy. Gdy lekko wyciągali, serce przestawało bić - więc zostawili w spokoju.

Rodzina opowiadała mi, gdy doktor Sulicki wyszedł po operacji na korytarz, to był cały w mojej krwi. Tata wspominał, że wyglądał jak „po świńbiciu”. Powiedział tylko: „Zrobiliśmy, co tylko mogliśmy. Córka ma cholernie silne serce, ale niech się pan z pogrzebem syna wstrzyma jeszcze. Nie wiadomo, czy córka przeżyje. Po co ma pan w grobie dwójkę dzieci chować osobno”.

Pani Janina uśmiecha się. - A ja z tym kawałkiem metalu przy sercu już 60 lat żyję. Czwórkę dzieci urodziłam.

Doktora Sulickiego widywała później wielokrotnie. - No bo przecież mieszkał niedaleko. A gdy dzisiaj przechodzi 10 Maja, zawsze go wspominam, czule, z wdzięcznością.

Dieciarnia na środku jezdni bawiła się razem

Gdy wracam na 10 Maja, spotykam jeszcze Eugenię Rudkiewicz, mieszka pod numerem jedenastym. Też pamięta dawne czasy, dawnych sąsiadów, żyje w tym samym domu od ponad 50 lat.

Wita mnie w progu. Zaprasza do środka.

- Z roku na rok coraz gorzej z pamięcią. Ale dobre rzeczy pamiętam. Na przykład to, jak się tu, na 10 Maja sprowadziłam. Bo to była dobra decyzja, żeby tu zamieszkać, wśród dobrych ludzi.

Pani Eugenia przyjechała na Dolny Śląsk tuż po wojnie, z Tarnopolskiego, z Kresów. Ale nie od razu do Głogowa. Najpierw zamieszkała w pobliżu Rudnej.

Zaczyna snuć opowieść: - Mąż pracował w terenie, ja na miejscu - w Rudnej. W skupie żywcą pracę dostałam. Dobrą. A męża tak poznałam, że siedziałam przy biurku, przy oknie, a on na dachu pracował. I mnie zaczęła. Małymi kamykami we mnie rzu-



Bogusia (na zdjęciu po prawej) jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale to ona wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Andrzej Ruebenbauer

cał. Żeby uwagę zwrócić. No i zwrócił - uśmiecha się kobieta.

- „Danka” na mnie wołali, choć wpisane w papierach mam „Eugenia”. Mąż jeździł do pracy, a to do Legnicy, a to do Polkowic. I co rusz mu jakieś mieszkanie służbowe proponowali, a ja się z tej Rudnej ruszać nie chciałam. Ale, gdy kolejne mieszkanie, na 10 Maja właśnie można było kupić, najpierw je zobaczyła moja mama. Zachwyciła się tym miejscem i powiedziała: „Kupujcie”. I tak tu jestem tyle lat. I nie żałuję przeprowadzki - wspomina.

W domu, w którym mieszka do dzisiaj, wprowadziła się w latach siedemdziesiątych.

- Dzieci było tu mnóstwo, a samochodów mało, więc dzieciarnia na środku jezdni się bawiła razem. Przy dzieciach każdy każdemu pomagał, w opiece. Ja w szpitalu pracowałam, mąż był elektrykiem. Trójka dzieci, w ogródku warzywa, owoce no i świnka, i kury - opowiada.

- I wie pan, cieszy mnie to, że czasy się zmieniają, a ludzie się nie zmieniają. Dzisiaj też, nawet bardziej, bo dzieci daleko, na sąsiadów liczyć mogę. O, niby błaża rzecz, a jednak ważna. Dzwonek do drzwi mi się zepsuł. Sąsiad przyszedł, naprawił, grosza nie wziął. Za „dziękuję” - opowiada pani Eugenia i dorzuca:

- Mówi się, że czasy niebezpieczne, że ludziom ufać nie należy. Ludziom może i nie, ale sąsiadowi? - uśmiecha. - Sąsiedzi nawet klucz mają od mojego domu, tak na wszelki wypadek. Gdybym zasłała.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem

Państwo Stanisława i Piotr Kachnowicz mieszkają pod numerem szóstym. Sprowadzili się tu 20 lat temu, do mieszkania na parterze. Wcześniej mieszkali m.in. w czteropiętrowym bloku, też w Głogowie, przy ul. Obrońców Pokoju.

Pan Kachnowicz: - Jak trzeba z mechaniką coś w aucie pomóc, to sąsiad zza płotu nigdy nie odmawia. Jak to mówią: w rodzinie dobrze mieć księdza, lekarza i mechanika samochodowego. My tego ostatniego mamy za sąsiada - uśmiecha się.

- Ja jestem urodzony na wsi. Cenię sobie spokój, a mieszkając na tej ulicy spokój jest. Okno można otworzyć, pooddychać swobodnie.

Gdy słucham ich opowieści, wracają wspomnienia. Moje wspomnienie o sąsiadach z dzieciństwa. Bo przecież państwo Kachnowiczowie byli moimi sąsiadami. Dwa piętra niżej, kiedy jako mały Robercik (ponad cztery dekady temu) mieszkałem w Głogowie, w bloku z wielkiej płyty, właśnie przy Obrońców Pokoju.

- A co u rodziców?

- A państwo mieli dwóch synów.

- A jak tam siostra?

- A co słyhać u dawnych sąsiadów? Macie z nimi kontakt?

Opowieści o rodzinie, sąsiadach z bloku przy Obrońców, przeplatają się jedna z drugą, kto na którym piętrze mieszkał, co u kogo słyhać.

Sąsiadów się nie zapomina. A spotkać ich po latach to jak cud.

WZROST INTENSYWNOŚCI SĄSIEDZKICH WIĘZI TO EFEKT UBOCZNY PANDEMII COVID-19?

Genialna poetka Agnieszka Osiecka pisała przed laty: „Jak dobrze mieć sąsiada/Jak dobrze mieć sąsiada/On wiosną się uśmiechnie/Jesienią zagada”. Sielankowo jest w tekście piosenki Osieckiej. A jak wyglądają relacje międzysąsiedzkie w Polsce w ostatnich latach?

Odpowiedź mogą przynieść badania „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzone przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS), a opublikowane w styczniu 2025 roku.

- Odkąd prowadzimy badanie więzi społecznych w miejscu zamieszkania, możemy obserwować, że relacje sąsiedzkie o charakterze czysto grzecznościowym i konwencjonalnym stają się stopniowo (zwłaszcza w ostatnim siedmioletnim) coraz mniej powszechne. W ciągu całego analizowanego okresu niespełna trzydziestu lat obserwujemy także minimalne, ale jednak dość systematyczne, zmniejszanie się zakresu sąsiedzkiego współdziałania o charakterze pomocowym, polegającego na wyświadczeniu sobie drobnych przysług, jak np. pożyczanie sobie czegoś, pilnowanie domu, pomoc w opiece nad dziećmi czy odbieranie przesyłek. Być może to ostatnie zjawisko świadczy o wzroście dostępności i jakości profesjonalnych usług wszelkiego rodzaju, co nie wymusza już konieczności proszenia sąsiadów o tego typu pomoc - informuje CBOS.

Natomiast dużo częstsze w relacjach z sąsiadami, niż były rejestrowane przez badaczy kiedykolwiek wcześniej, są dzisiaj kontakty o charakterze towarzyskim - wzajemne odwiedzanie się, bywanie u siebie na uroczystościach rodzinnych czy innych spotkaniach.

- W porównaniu z 2017 rokiem odsetek badanych, którzy utrzymują tego typu zażyłe kontakty z sąsiadami, wzrósł aż o 20 punktów procentowych. Tę tendencję wzrostową obserwujemy również w dłuższym okresie - jeśli za punkt odniesienia przyjąć rok 1995, to odsetek tego typu relacji zwiększył się o 14 punktów procentowych - czytamy w raporcie Centrum Badań Opinii Społecznej.

Od roku 2008 na podobnym poziomie utrzymuje się liczba sąsiedzkich konfliktów.

Polacy deklarują, że konflikty w najbliższym sąsiedztwie zdarzają się tylko nielicznym spośród nich, co jedenasty (9%) z badanych przyznał, że jest skonfliktowany z sąsiadami. W większości przypadków są to spory czy animozje ze stosunkowo niewielką grupą (od jednego do pięciu sąsiadów - 7%). Tylko zupełnie nieliczni (1%) są skonfliktowani i żyją jak przysłowiowy pies z kotem z większością sąsiadów.

- Mimo spadku niewielkiego znaczenia samopomocowych usług sąsiedzkich, ogólnie rzecz biorąc w ciągu ostatnich siedmiu lat zdecydowanie zwiększył się wcześniej dość stabilny odsetek badanych utrzymujących bliskie relacje z sąsiadami, zarówno te o charakterze towarzyskim, jak i pomocowym. O ile w okresie 2008-2017 odsetek ten nie przekraczał jednej trzeciej deklaracji, to obecnie sięga prawie połowy wskazań. Z drugiej strony wyraźnie zmniejszyła się liczba badanych utrzymujących tylko jednego typu kontakty z sąsiadami, natomiast nie zmienił się odsetek respondentów nieutrzymujących żadnych bliższych z nimi kontaktów. Tak znaczący wzrost intensywności sąsiedzkich więzi w ostatnich latach można interpretować jako efekt uboczny pandemii COVID-19 i okresu społecznej izolacji, która siłą rzeczy skazywała nas na współdziałanie z najbliższymi sąsiadami. Zadzierzgnięte wówczas więzi najwyraźniej utrzymują się do dziś - podsumowuje CBOS w swoich najnowszych badaniach.

ARTUR ŻMIJEWSKI: TE PIOSENKI SĄ O NAS, BEZ WZGŁĘDU POD JAKĄ SZEROKOŚCIĄ GEOGRAFICZNĄ SIĘ ZNAJDUJEMY

Wszyscy go znamy i lubimy jako księdza Mateusza z telewizyjnego serialu. Teraz debiutuje jako wokalista, prezentując płytę „Po miłości kres” z pieśniami Leonarda Cohena. Nam Artur Żmijewski opowiada, jak aktorstwo i śpiewanie przeplatało się w jego życiu od początku kariery

Patryk Gzyl

Większość z naszego pokolenia poznała pieśni Leonarda Cohena w liceum lub na studiach w latach 80. W Pana przypadku też tak było?

Dokładnie tak. Jeszcze jako nastolatek przed szkołą teatralną słuchałem Cohena z upodobaniem i nawet próbowałem go wykonywać nieporadnie. To była taka moja młodościowa fascynacja.

Co Pana ujęło w tych pieśniach, że już wtedy zaczynał Pan śpiewać?

Cohen był wtedy niezwykle popularny i jego się wtedy powszechnie słuchało. Zarówno młodzież, jak i dorośli. To były lata 80., czyli najgorsza w swym schyłkowym okresie komuna. A przecież Cohen był autorem pieśni zaangażowanych, jak „Partyzant”, który był wówczas jednym z nieformalnych hymnów Solidarności. Trudno było, mając tyle lat, ile wtedy mieliśmy, nie buntować się przeciw tej rzeczywistości. Nikt z nas nie chciał się zapisywać do ZSMP, tylko stawać po drugiej stronie. I Cohen był jakimś sposobem na zmanifestowanie tej postawy.

Co sprawiło, że 40 lat później postanowił Pan zmierzyć się z twórczością Cohena i przygotować recital z jego pieśniami? Tym razem mogłem skupić się na ich interpretacji. Sięgnąłem przede wszystkim po tłumaczenia Macieja Zembatego, który niektóre z nich, jak „My Secret Life” chociażby, przetłu-

maczył prawie słowo w słowo. A do tego jeszcze smacznie i sensownie. Warto tutaj podkreślić, że Cohen nie pisał tekstów piosenek, tylko wiersze. Nie bez powodu był w pewnym momencie brany pod uwagę jako kandydat do literackiej nagrody Nobla. Przegrał tę konkurencję z Dylanem tylko dlatego, że Dylan był bardziej znany. Ale to świadczy tylko o tym, jakim wielkim talentem literackim Cohen był obdarzony. Pisał o miłości, o przemijaniu, o samotności, o śmierci, tym, co dotyka nas wszystkich. Dlatego te piosenki są o nas, bez względu pod jaką szerokością geograficzną się znajdujemy.

Cohen zostawił po sobie dużą spuściznę. Według jakiego klucza wybrał Pan te trzynaście piosenek na koncert i płytę?

Tytuł tego przedsięwzięcia to „Po miłości kres”. Trzeba więc było wybrać pieśni związane z miłością i z tym, co jej dotyka. Stąd tutaj „Zuzanna”, „Siostry miłosierdzia” czy „Słynny niebieski prochowiec”. To wszystko pieśni dotyczące tego tematu.

Są tu największe przeboje Cohena, które znają wszyscy. Nie bał się Pan z nimi zmierzyć?

Nie ja pierwszy i nie ostatni się tego podjąłem. Już różni to przede mną robili i jakoś sobie zębów nie powybijali. Uznałem więc, że warto podjąć takie ryzyko. I teraz nam wszystkim, którzy jesteśmy na scenie, daje to wielką frajdę. Ale trzeba za-

uważyć, że nie śpiewam wyłącznie te największe przeboje. Bo wczoraj po koncercie w Ostrołęce przyszła pewna pani i powiedziała, że słucha Cohena od wielu lat i taka piosenka, jak „Wspomnienie”, nigdy jej się o uszy nie obita. Wykonujemy więc też takie kompozycje, których ludzie nie znają.

Lepiej się Panu śpiewało te wielkie przeboje Cohena czy te mniej znane utwory, jak „Wspomnienie” czy „Goście”?

Nie rozgraniczałbym tego w ogóle w ten sposób. Te pieśni, mimo że jak to u Cohena są w większości smutne i refleksyjne, to w naszych aranżacjach są bardzo odmienne od tych jego typowo balladowych wykonania. I to też jest pewną zaletą tego przedstawienia. A poza tym nie jestem na scenie sam, bo jest ze mną moja córka z partnerką jako duet Eva & Shandy i one śpiewają chórki, ale mają też swoje partie solowe i wykonują jeden utwór nawet tylko we dwie.

Skąd taki pomysł?

Skoro mamy na scenie dwie fantastyczne dziewczyny, które potrafią śpiewać i grać,

to trudno tego nie wykorzystać, by pokazać Cohena też w innym kolorze. I piosenka, którą wykonują Eva & Shandy, jest zawsze bardzo ciepło przyjmowana, a po koncercie wszyscy zachwycają się, jak cudownie brzmią, jakie mają piękne głosy i jak są uzdolnione. W „Tęsknij” Ewa śpiewa zamiennie partie wokalne ze mną, Shandy ma z kolei we „Wspomnieniach” dużą partię solową. To coś, co fajnie uatrakcyjniło to nasze przedsięwzięcie.

Bezpieczniej się Pan czuje na scenie, mając bliskie osoby za plecami?

Ja zasadniczo dobrze czuję się na scenie z ludźmi, których lubię i dobrze znam. Bo najważniejsze to mieć do siebie zaufanie. I ja ufam zarówno swojej córce, jak i wszystkim osobom, które są ze mną na scenie. Wiem, że to, co robimy, robimy tak jak chcemy oraz że to jest dobre i podoba się słuchaczom.

Eva i Shandy to zupełnie inne pokolenie. Jak one odbierają Cohena?

Wypowiedz się, Ewa, proszę. **Ewa Żmijewska (która towarzyszy rozmowie):** Cohen na pewno nie ma dla nas ta-

Echo Dnia
Piątek, 10.10.2025

kiego samego znaczenia, jak dla pozostałej części zespołu, która jest starsza życiowym stażem. My urodzyliśmy się na początku lat 90., kiedy więc zaczęliśmy świadomie odbierać muzykę, Cohen już nie był tak popularny. Cały ten aspekt polityczny jego twórczości nie był więc dla nas ważny. Nie przeżywałyśmy więc jego pieśni w ten sposób. Ale pamiętam jako dziecko, że Cohen był często u nas puszczany w domu, słyszałam go też w radiu. Co ciekawe, jako dorosła osoba poznałam te piosenki po angielsku, kiedy studiowałam w USA. Teraz trafiają one do mnie na nowo, kiedy uczę się ich interpretować w języku polskim. Dzięki temu znajduję w nich coś dla siebie. Te utwory są świetnie napisane i świetnie przetłumaczone, dlatego mają ponadczasowy charakter.

Aktorskie doświadczenie pomaga Panu w interpretacji tych pieśni?

Oczywiście. Ja zabrałem się do tego tak jak zabieram się do każdej roli w sposób świadomie aktorski, czyli od interpretacji tekstu. To pomogło mi poradzić sobie wokalnie. Sięgnęliśmy przede wszystkim po tłumaczenia Macieja Zembatego, ale jeden tekst jest przetłumaczony przez Michała Kuźmińskiego i jeden przez Romana Kołakowskiego. W trakcie przedstawienia czytam też fragmenty „Księgi miłosierdzia” i „Księgi tęsknoty” w tłumaczeniu Daniela Wyszogrodzkiego, bo to nie tylko koncert, ale rodzaj opowieści, którą staram się snuć na scenie.

I wszystko są to świetne tłumaczenia. To, że ludzie słyszą te pieśni po polsku, dla wielu jest dużym zaskoczeniem i odkryciem, ponieważ mogą w pełni zrozumieć przesłanie ich autora. Czasem przychodzą po występie i mówią, że ta czy inna piosenka miała dla nich zupełnie inne znaczenie, a po polsku odczytali ją w całkiem inny sposób. Ma to więc fajny sens, dający nam wielką satysfakcję.

Zapowiadając tę płytę, powiedział Pan o Cohenie: „Jego pieśni są jak lustro – każdy widzi w nich siebie”. Co bliskiego sobie zobaczył Pan w tych utworach?

Całe swoje dotychczasowe życie i przewidywania tego, co się wydarzy w przyszłości. Im głębiej w to wchodziłem i uświadamiałem sobie pewne sytuacje z przeszłości, zaczynałem lepiej rozumieć, co miał na myśli Cohen, pisząc o swojej teraźniejszości. Bo te wiersze kompletnie przekładają się na nasze życie. Jeśli więc ktoś chce mieć chwilę refleksji nad swym życiem, to pieśni Cohena są znakomite, żeby uświadomić sobie wiele rzeczy. Myślę, że to dla mnie największa wartość.

Dlaczego zdecydował się Pan zamieścić na płycie nagranie z koncertu w Białymstoku, a nie studyjne wersje?

Myśmy się na początku nie przymierzali do wydania płyty. Ona jest efektem koncertu, który został zarejestrowany. Naszym celem było stworzenie przedsięwzięcia, w ramach którego moglibyśmy pokazać pieśni Cohena sprzed wielu lat współczesnej publiczności. Przy kolejnej okazji zaproszono nas do Radia Białystok i umożliwiono nagranie tego materiału. Kiedy okazało się, że jest on takiej jakości, iż możemy go pokazać na płycie, tak właśnie się stało.

Teraz trwa trasa koncertowa z tym programem. Wykonuje Pan tylko te trzynaście pieśni, które są na płycie?

Coraz bardziej nas kusi, żeby poszerzyć ten recital, bo obserwuję duże nim zainteresowanie. Niektórzy widzwowie przypominają nam o pieśniach Cohena, których nie wzięliśmy pod uwagę, a bardzo by się do tego przedstawienia nadały. Dobrze by więc było wzbogacić nasz program o nowe utwory lub potraktować je wymiennie. I do tego z pewnością kiedyś dojdzie, być może nawet w niezbyt odległym czasie. Wciąż słuchamy oryginalnych nagrań Cohena i wciąż przychodzą nam do głowy nowe pomysły. Zrobimy więc pewnie jakieś kolejne 2-3 piosenki i być może tym razem nagramy je studyjnie. Ale to na razie kwestia przyszłości.

W internecie są bardzo pozytywne opinie o Pana występach. „Poruszające interpretacje” – pisze jedna z fanek. „Super przeżycie muzyczne” – dodaje druga. Podchodzi Pan do tych koncertów również bardzo emocjonalnie?

Ja muszę przede wszystkim podejść bardzo zawodowo, żeby to widzowie poculi te emocje. Jeśli podszedłbym do tych pieśni wyłącznie emocjonalnie, to pewnie nieraz bym musiał w czasie koncertu w niektórych momentach uronić łezkę. A zadaniem aktora jest te emocje opanowywać, aby je odpowiednio przedstawiać. Dlatego traktuję to w tym sensie jako zadanie aktorskie. Dzięki temu widać potem, jak niektóre osoby z widowni wycierają sobie chusteczkami oczy w trakcie jednej czy drugiej piosenki i jak trudno im też opanować. To też jest kolejny dowód na to, jak są to osobiste rzeczy i kolejny argument za tym, by do tego jak najczęściej wracać.

Śpiewał Pan już w czasach licealnych, potem brał udział w kabaretach i wystąpił nawet na festiwalu w Opolu. Co sprawiło, że postanowił Pan jednak pójść w stronę aktorstwa, a nie muzyki?



Artur Żmijewski: Jeśli podszedłbym do tych pieśni wyłącznie emocjonalnie, to pewnie nieraz bym musiał w czasie koncertu w niektórych momentach uronić łezkę

Mój pomysł na zawód był taki, że ja najpierw chciałem być aktorem. I jako kandydat do tej profesji trafiłem do środowiska, w którym wykonywało się poezję śpiewaną. To mnie bardzo wciągnęło. Dlatego zacząłem to robić równoległe z braniem udziału w konkursach recytatorskich wszelkiego rodzaju, ta moja działalność szła więc dwutorowo. Pewnie gdyby studia aktorskie nie były tak absorbujące co do zasady, bo wta jemniczeni wiedzą, że pierwszy rok studiów w szkole teatralnej to chyba aż 65 godzin zajęć tygodniowo, co nie daje szansy na zajmowanie się czym innym, to wtedy nie musiałbym zrezygnować z grania i śpiewania. Musiałem jednak coś wybrać. Ale ta muzyka cały czas była w moim życiu obecna. Chętnie chodziłem na koncerty, zabierałem na nie dzieci. Raz na jakiś czas Jurek Satanowski zapraszał mnie

do swych różnych przedsięwzięć: Okudżawy, Wysokiego czy Cohena właśnie. Czyli to nie było tak, że w ogóle zerwałem ze śpiewaniem. Faktem jednak jest, że nigdy wcześniej nie przygotowałem tak obszernego recitalu, jak ten obecny. Bo w tych przedstawieniach zbiorowych Jerzego zazwyczaj śpiewałem dwie solowe piosenki oraz jedną z wszystkimi – i na tym się to kończyło. A tu jest aż trzynaście piosenek, które muszę zaśpiewać solowo czy z Evą & Shandy.

Jeszcze na studiach zagrał Pan rolę Gustawa-Konrada w „Lawie” Tadeusza Konwickiego według „Dziadów” Adama Mickiewicza. To musiało być dla młodego adepta aktorstwa wielkie przeżycie. Bardzo. Byłem wtedy studentem trzeciego roku, kiedy to robiliśmy. Na planie „Lawy” spotkałem się z Teresą Bu-

dzisz-Krzyżanowską, Gustawem Holoubkiem, Henrykiem Bistą czy Grażyną Szapołowską. Ale też z wieloma kolegami z uczelni, choćby z Maciejem Orłosiem, który grał ze mną w scenach więziennych. To było dla nas fantastyczne doświadczenie, które nauczyło mnie, że kiedy wychodzi się spod szkolnego kłosa, praca idzie tylko na mój rachunek. Nikt mnie nie poklepie po plecach i nie powie: „To nie twoja wina, że ci się nie udało”. Chwilę po zakończeniu zdjęć do „Lawy” zaprosił mnie do współpracy Krzysztof Zanussi, który obsadził mnie ze moimi ówczesnymi profesorami z uczelni w „Stanie posiadania”. Maja Komorowska była moją matką, a Krystyna Janda kochanką. Z kolei Andrzej Łapicki, który był opiekunem naszego roku, zagrał mojego ojca, był to więc skok na głęboką wodę.

Popularność przyniosło Panu zupełnie inne kino, czyli „Psy” Władysława Pasikowskiego. To była duża odmiana po Mickiewiczu?

Bardzo duża. Za sprawą „Lawy” zacząłem być kojarzony z romantycznymi rolami i tylko tego przez pewien czas ode mnie wymagano. Nic więc dziwnego, że zaczęło mi się to w pewnym momencie nudzić. Wtedy Wojtek Wójcik obsadził mnie jako Mruka w „Trzech dniach bez wyroku”, co trochę ten wizerunek przełamało. A taka totalna odmiana nastąpiła faktycznie u Władka Pasikowskiego w „Psach”.

Zagrał Pan w czterech filmach Pasikowskiego. Miał Pan z tym reżyserem wyjątkowe porozumienie?

Na tamtym etapie bardzo dobrze to funkcjonowało, potem nasze drogi się rozeszły. Przez pewien czas Władek nie robił specjalnie dużo filmów, a ja się zaangażowałem w pewne długotrwałe przedsięwzięcia. Ale tak to jest w naszym zawodzie: ludzie spotykają się, potem rozchodzą się, a jeszcze później znowu się spotykają. W naszych kontaktach zadziałała więc również taka zasada sinusoidy.

Pierwsze długotrwałe przedsięwzięcie w Pana karierze to doktor Burski w „Na dobre i na złe”. To trzynaście lat Pana życia. Warto było poświęcić temu serialowi?

Tak. To był serial, który przyniósł mi ogromną przyjemność pracy. Poznałem tam cudownych ludzi i było to wielką szkołą zawodu dla mnie. Właśnie wtedy wiele rzeczy sobie uświadomiłem i zrozumiałem. Nikt w tamtym czasie nie zarzucał nam, aktorom, że gramy w takim serialu. Przecież wszyscy wielcy chcieli wówczas brać udział w tym przedsięwzięciu. Tam grali Daniel Olbrychski, Jan Englert, Maja Komorowska. Na planie panowała miła i kreatywna atmosfera. Do tego mieliśmy do czynienia z cudownym odbiorem publiczności.

Z kolei siedemnaście lat Pana życia to „Ojciec Mateusz”. Woli pan być księdzem czy lekarzem?

Szczęśliwi czasu nie liczą. (Śmiech) Nie wiadomo jeszcze, jak długo przyjdzie mi grać księdza Mateusza, ale nie zastanawiam się jakoś specjalnie nad tym. Lekarzem nie jestem już od wielu lat, bo chyba przy drugim sezonie „Księdza Mateusza” rozstałem się z „Na dobre i na złe”. I w tej chwili to jest już zupełnie inne przedsięwzięcie, kto inny się tam dobrze czuje, trudno by mi było więc wejść do tej rzeki ponownie. Ale niezwykle sobie cenię cały ten czas pracy przy tym

serialu i uważam, że był fantastyczny zarówno dla mnie, jak i dla widzów.

A w której postaci się Pan bardziej odnajduje?

Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć jednoznacznie. To coś z kategorii „Które dziecko kochasz bardziej?”. Moim narzędziem pracy jest moje ciało i umysł, właściwie cały człowiek. Kiedy się ubieram w kitel, to jestem lekarzem. Kiedy zakładam sutannę, to jestem księdzem. W każdej postaci zostawiam jakiś fragment swojego myślenia i swojego doświadczenia. I teraz jakbym miał wartościować, w której więcej, a w której mniej, to nie potrafię odpowiedzieć.

Kiedy robiłem wywiad z Kingą Preis, powiedziała, że „Ksiądz Mateusz” to dla niej tylko „radość i zabawa”. Pan też tak podchodzi do tego serialu?

Zdecydowanie tak. Pewnie dlatego tak długo ze sobą wytrzymujemy, że my się tam wszyscy po prostu lubimy. Nastąpił taki układ gwiazd, że spotkała się taka ekipa i tacy ludzie ze sobą zaczęli pracować, iż jest im ze sobą dobrze. Oczywiście niektóre osoby się zmieniają, w ekipie technicznej czy w obsadzie, w związku z innymi zajęciami czy dramatycznymi zwrotami akcji. Niektórzy odchodzą na niedługo, a niektórzy na zawsze. Takie rzeczy się zdarzają. Ale ciągle mamy frajdę z tego, że spotykamy się ze sobą, lubimy ze sobą gadać i spędzać czas, grać kolejne sceny. Poza tym niby to jest format serialu, ale za każdym razem opowiadamy inną historię, czyli jakby kręcimy nowy film. Opowiadane jest to w sposób fabularny, a nie sitcomowy. Nie siedzimy w studiu przez dwadzieścia godzin z rzędu, tylko mamy zdjęcia w plenerze w różnych miejscach. Często w takich, które znamy i odwiedzaliśmy je wielokrotnie, ale czasem w takich, w których nigdy wcześniej nie byliśmy. Poznajemy też nowych ludzi i nowe sytuacje, jest to więc dla nas ciągle swego rodzaju przygoda.

Widzowie jak to widzowie – kiedy mają ukochany serial, to zawsze utożsamiają aktora z graną przez niego postacią. Tak pewnie jest z Panem i księdzem Mateuszem. To nie jest dla Pana uciążliwe? Nie, przyzwyczaiłem się do tego. Jasne – zdarzają się śmieszne sytuacje, ale nie są one raczej przekładalne na język pisany.

Trochę rzadko widzujemy Pana w kinie. A takie filmy, jak „Atak paniki” czy „Czarny mercedes”, pokazują, że można mieć ciekawy pomysł na Artura Żmijewskiego. Brakuje Panu takich propozycji?

Nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo ostatnio byłem mocno zajęty – czy to serialem, czy koncertami. Nie zapominajmy też, że w ubiegłym roku odbyła się premiera filmu, który wyreżyserowałem – „Sami swoi. Początek”. Nie odczuwam więc tego braku na co dzień. Natomiast skoro pan o to zapytał – to tak, owszem, od czasu „Czarnego mercedesa” nie zagrałem jakiegś fajnej roli w kinie, która by była dla mnie satysfakcjonująca. I nie ukrywam, że z chęcią byłbym się do tego przymierzył.

„Sami swoi. Początek” okazali się sukcesem w kinach i w streamingu. Zachęciło to Pana do dalszych tego rodzaju przedsięwzięć?

Z przyjemnością wyreżyseruję jeszcze jakąś fajną historię, która trafi w moje ręce, bo reżyseria jest dla mnie bardzo inspirująca. Kiedy stanąłem za kamerą kilkanaście lat temu po raz pierwszy, uświadomiło mi to kilka rzeczy w aktorstwie. Ponieważ jako reżyser stałem razem z kolegami aktorami, to wymagałem od siebie tego, czego od nich. To uczy pokory i jeszcze lepszego zrozumienia ograniczeń i niuansów aktorstwa. Dlatego to dla mnie bardzo pouczające doświadczenie.

A skąd pomysł na reżyserowanie?

Życie samo mnie tak pokierowało. Najpierw miałem przedstawienie w teatrze, potem w telewizji, później reżyserowałem „Na dobre i na złe” i „Ojca Mateusza” i wreszcie „Sami swoi. Początek”. Miałem więc pewne doświadczenie, zanim stanąłem za kamerą przy kinowym filmie.

„Sami swoi. Początek” to wielka produkcja, a poradził Pan sobie całkiem dobrze.

To było bardzo ciekawe doświadczenie. Może jeśli chodzi o rodzaj pracy, to nie było to tak bardzo odmienne od tego, co robię przy „Ojcu Mateuszu”. Z tą jedną różnicą, że jeśli przy serialu nie da się jakiegoś wątku fajnie rozwiązać w danym odcinku, to można go potem rozwinąć i dopowiedzieć w kolejnym. A w filmie musimy stworzyć i rozwinąć wszystkie wątki w ciągu dwóch godzin i potem już nie ma możliwości poprawki. To odróżnia serial od filmu. W serialu da się coś naprawić w kolejnym odcinku, a w filmie kinowym robimy coś zawsze tylko jeden jedyny raz.

Gdzie Pan szuka odpoczynku od filmów, seriali i koncertów?

W ciszy i spokoju, w lesie na spacerach, w byciu z bliskimi. Żeby nie gadać o sprawach zawodowych, tylko miło spędzać razem czas. To jest dla mnie najważniejsze.

WOJCIECH SMARZOWSKI: WIERZĘ W TO, ŻE FILM MOŻE COŚ W NAS ZMIEŃCIĆ, BO INACZEJ NIE WYCIĄGAŁBYM KAMERY Z SAMOCHODU

Rozmowa z Wojciechem Smarzowskim, reżyserem filmowym i teatralnym, scenarzystą oraz operatorem filmowym. 7 listopada do kin w całym kraju wejdzie najnowszy film autorstwa artysty, zatytułowany „Dom dobry”, poświęcony problemowi przemocy domowej. W produkcji główne role zagraли Agata Turkot, absolwentka Szkoły Filmowej w Łodzi oraz Tomasz Schuchardt

Dariusz Pawłowski

Trudno zrozumieć, dlaczego pana nowy film, „Dom dobry”, nie okazał się dość dobry dla jurorów Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, ale można pominąć tego tytułu w werdykcie potraktować symbolicznie, jako obraz pana relacji z tak zwanym środowiskiem. Czy postawa artysty osobnego, stojącego nieco obok rozmaitych rozgrywek i działań promocyjnych, to wybór czy konieczność?

Startuję w indywidualnej dyscyplinie i nie wiem, jak postępują inni reżyserzy. Ja robię swoje, i tyle. I w taki sposób, jeżeli pan pozwoli, wolałbym zamknąć odpowiedź na to pytanie. Ale dziękuję za takie ustawienie mojej sytuacji, jakie zasugerował pan w pytaniu, bo jest mi ono bliskie.

Czy do takiej autonomiczności właśnie przygotowywano w Łódzkiej Szkole Filmowej, którą ukończył pan w 1990 roku, co warto podkreślić, na Wydziale Operatorskim? Do Szkoły Filmowej w Łodzi udało mi się dostać dopiero za trzecim razem, na wspomniany Wydział Operatorski. Ja chyba wtedy kombinowałem w ten sposób, że na operatorskim było dziesięć miejsc, a na reżyserii tylko osiem, no to łatwiej się było dostać na operatorski, prawda? Dobrze, trochę żartuję, rzecz jasna... Po pierwszym roku już wiedziałem, że się nie nadaję na operatora, bo w tej materii trzeba podążać za technologią i operator musi czekać na tekst, na to, czy wybierze go

reżyser. A mnie już zaczęło interesować samodzielne robienie filmów. Na trzecim roku napisałem scenariusz „Małżowiny”, tworzyliśmy też wtedy z Łukaszem Kośmickim scenariusz „Domu złego” – on jeszcze wtedy wyglądał zupełnie inaczej niż to, co potem oglądaliśmy na ekranie. To wszystko sprawiło, że wiedziałem już, że chcę robić filmy jako reżyser. To była długa droga, ale w końcu się udało.

Czy wiedza zdobyta na Wydziale Operatorskim pomogła w pracy reżysera?

Zaraz po skończeniu Szkoły Filmowej mówiłem, że dała mi ona dwie rzeczy: możliwość oglądania filmów w kinie, bo oglądałem nierzadko po dwa-trzy filmy dziennie oraz kort tenisowy, którego teraz w Szkole już nie ma. Jednak z perspektywy czasu wiem, że ta uczelnia dała mi więcej. Przede wszystkim mogłem się kontaktować z ludźmi, którzy podobnie jak ja postrzegają świat. A z wykładów, które początkowo mi gdzieś uciekły, pozostało dużo rozmów o znaczeniach, a na nich mi w kinie zależy najbardziej.

W okresie studiów spędził pan w Łodzi sześć lat. Jak postrzegał pan wtedy nasze miasto?

Trudno było zostać jego fanem. Mieszkałem przy ulicy Piotrkowskiej, przy Parku Słedzia, na Dąbrowie i na ulicy Radwańskiej. Lata spędzone w Łodzi spowodowały, że jestem zawodowo w tym miejscu, w którym jestem. Chodzi

nie tylko o Szkołę Filmową, ale jeszcze bardziej o ludzi, z którymi spotkałem się i w uczelni, i w kinie Cytryna, czy w Siódmkach. Oni mieli tak samo narąbane w głowie jak ja i podobnie jak ja postrzegali świat. Później, nawet jak bywałem w Łodzi, to pracowałem, nie miałem możliwości przyglądania się miastu. Dopiero niedawno, odsłaniając swoją gwiazdę w Łódzkiej Alei Gwiazd na Piotrkowskiej, mogłem dostrzec, jak bardzo od tamtego czasu Łódź się zmieniła.

Już pana pierwszy kinowy film, „Wesele” z 2004 roku, wywołał wiele emocji, a kolejny, „Dom zły” z roku 2009, ustanowił pana pozycję jednego z najważniejszych i najsilniej oddziałujących współczesnych polskich reżyserów. Powiedział pan jednak przed chwilą, że ten scenariusz powstał jeszcze na studiach. Co go zainspirowało?

Z Łukaszem Kośmickim znaleźliśmy artykuł, chyba w piśmie „Detektyw”, opisujący historię rodziców, którzy przez pomyłkę zabili własne dziecko. Ja jeszcze nie wiedziałem o sztuce „Niespodzianka” Karola Huberta Rostworowskiego, ale jak kręciłem „Małżowinę”, to nasz scenariusz przeczytał Marcin Świetlicki i wskazał nam właśnie na ten dramat z okresu międzywojennego. Udałem się do biblioteki i zobaczyłem, że rzeczywiście, ten element historii opisanej w gazecie pochodzi z „Niespodzianki”. Ale uwaga, kiedy byłem z „Domem złym”

w Łowiczu, okazało się, że chyba w 1880 roku niejaki Tarczyński napisał tę samą historię jeszcze przed Rostworowskim. Nie wiem więc komu tak naprawdę ten pomysł ukradliśmy. Próbowaliśmy też odnaleźć autora tekstu w „Detektywie”, ale nie udało się. I ów mord dokonany przez rodziców przez pomyłkę na własnym dziecku był punktem wyjścia scenariusza, nie mieliśmy jeszcze wątku współczesnego. Potem długo nad tym tekstem pracowaliśmy, wiele zmienialiśmy, jednocześnie pisaliśmy scenariusz do filmu „Sezon na leszcza”, który zrealizował Bogusław Linda. W pewnym momencie do „Domu złego” dodałem sekwencje rozgrywane się w okresie wczesnego Jaruzelskiego. Miałem dużo czasu, żeby nad tym tekstem myśleć, a moją szkołą reżyserską było pierwsze „Wesele”.

Czego się pan wtedy nauczył?

Pisałem scenariusz, bardzo się starałem, zrobiłem to najlepiej, jak potrafiłem, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, że praca nie zastąpi talentu. Producenti też nie do końca wiedzieli, czy ten tekst jest dobry, czy nie. Zaaranżowali spotkanie z Kazimierzem Kutzem, który był wtedy w Sejmie. Kutz podszedł do stolika, przy którym siedzieliśmy, powiedział o scenariuszu: „Świetny, kręcicie”. I poszedł. Wiedzieliśmy więc, że mamy niezły tekst, ale kiedy weszliśmy w zdjęcia, okazało się, że połowę kwestii, które ja tak wypracowałem, aktorzy mogą

Echo Dnia
Piątek, 10.10.2025

po prostu zagrać, zamiast je wypowiadać. Później w montażu jeszcze część kwestii powyrzucaliśmy. Na początku odebrałem to tak, że jestem mało zdolny, zanim zrozumiałem, że film to robota zbiorowa. Że trzeba się otaczać ludźmi, którzy podobnie postrzegają świat i czerpać od nich. Chodzi przede wszystkim o aktorów, bo to są moje – przepraszam za słowo – narzędzia, ale też o najbliższą ekipę. I teraz, gdy to już rozumiałem, to wiem, że bardzo lubię idąc na plan, przygotowując scenę, nie wiedzieć wszystkiego. To znaczy, muszę wiedzieć, do czego zmierza historia, o czym opowiadam, jaki będzie koniec i ostatnie ujęcie. Natomiast jeżeli będę wiedział z góry wszystko, to może już powinienem przestać robić filmy. Na razie zderzam się z aktorami i każdy z nich coś dokłada do mojej historii. Czasem jest tak, że nie zgadzam się i robię po swojemu, a czasem, kiedy nie wiem, to robię proponowany wariant. I sprawdzam, co lepiej pasuje. Nagadałem się teraz... A wszystko zamyka się w tym, co już powiedziałem, że film jest robotą zbiorową.

Czy to oznacza, że każdy kolejny film robi się łatwiej, czy też to, co zrobiło się wcześniej, nie ma znaczenia przy nowym projekcie?

Za każdym razem jest inaczej. Wynika to z tematu, ale ja też się zmieniam. Na przykład ten film o miłości z małym minusem, czyli „Dom dobry”, troszkę odchorowałem. Żeby jednak było jasne – lubię robić to, co robię.

Dlaczego pan odchorował?

Robiłem już takie bardzo brutalne sceny w kinie, tylko że one były umiejscowione w czasie przeszłym, w historii. To była jakaś klamra, prawda? A teraz zrobiłem historię o tym, co się dzieje tu i teraz, za ścianą. I to było dla mnie zaskakująco bolesne, nawet, jeżeli wiedziałem, że to będzie ciężkie kino. Zacząłem od wyboru do głównej roli Agaty Turkot, z którą pracowałem przy drugim „Weselu”, z żydowską literką w tytule. Ona grała wtedy w drugim planie, ale ja wiedziałem, że chcę z nią zrobić kolejny film. I kiedy zastała mnie pandemia, zawieszony byłem pomiędzy „Weselem” z żydowską literką w tytule i „Słowianami”, których jeszcze nie zrobiłem, ale wierzę, że zrobię. W tym zawieszeniu pomyślałem sobie, że trzeba zrobić kameralne kino, którego akcja toczy się w czterech ścianach. Pojawiło się też wtedy dużo artykułów o domowej przemocy, bo ona się w pandemii nasiliła. Zacząłem czytać artykuły i książki na ten temat, spotykałem się z ofiarami prze-

mocy. Doszło w końcu do tak zwanych zdjęć próbnych i nie zapraszałem już innych aktorów niż Agata Turkot. Otoczyłem ją jednak kilkunastoma, moim zdaniem, świetnymi aktorami. Nie sprawdzałem, czy oni potrafią grać, przyglądałem się innym kwestiom. Po pierwsze, jak różna byłaby relacja na ekranie, gdyby partner był starszy, młodszy, mniej lub bardziej przystojny. Drugą sprawą było, który z aktorów dawał Agacie największe poczucie bezpieczeństwa. To też było dla mnie nowe w mojej pracy. Później, na planie, ograniczyliśmy ekipę, komunikację radiową, światło. Operatorką kamery była Ola Kamińska, najbliższej aktorów. Ja nie mnożyłem dubli, miałem w nosie, czy coś jest ostre, czy nie. Mam doświadczenie, wiem, że coś mogę wyciąć, zmontować. Próbowaliśmy zapewnić komfort aktorom, co w tym filmie było trudne. Zobaczycie na ekranie.

W jaki sposób reagowaliście na trudne sceny?

Patrzyłem w buty. Ujęcie, stop kamera i patrzyłem w buty. Nie tylko ja, bo cała ekipa też patrzyła w buty. Wszyscy byliśmy emocjonalnie bardzo związani z aktorami, bo tak naprawdę, ich to kosztowało najwięcej.

To jest ciężar, który się zabiera z planu?

No tak, ale za chwilę będę przed panem płakał albo się użalał. Lubie robić to, co robię. Wiedziałem, w co się pakuję. Czytałem na ten temat, spotykałem się z osobami, które zostały dotknięte przemocą, wysłuchałem ich historii. To było coś innego niż czytanie, kiedy patrzyłem w oczy tych ludzi i widziałem ich emocje. I wtedy wiedziałem, że ja muszę zrobić ten film.

To były osoby, które wyszły z przemocy?

Były w trakcie wychodzenia albo już wyszły z przemocy.

Czy tak mocno dotykając realizmu, trochę jak dziennikarza i robiąc takie filmy, wierzy pan jeszcze w człowieka?

Ojej, wierzę w to, że film jednak może coś zmienić, bo inaczej bym nie wyciągał kamery z auta. I czasem nie chodzi o to, że film musi być dobry. Bywa, że temat jest tak istotny, tak pokazany, że ktoś poczuje potrzebę chociażby porozmawiania z samym sobą. Oczekuję od kina poruszenia i emocji. I takie filmy chciałbym robić. Wydaje mi się, że czasem mi się to udaje.

Czy już odbyte projekcje „Domu dobrego” pokazały panu, że widz może się w tym filmie przeżyć?

Nie chcę uogólniać. Ale po projekcjach filmu na



FOT. KRZYSZTOF SZYMCAK

Wojciech Smarzowski na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi, podczas odsłaniania gwiazdy artysty w Łódzkiej Alei Gwiazd

festiwalu Gdyni, gdzie wiadomo, wszystko się dzieje w przeciagu i ludzie się mijają, podeszło do mnie w sumie z dziesięć kobiet i opowiedziało swoje historie: kopnął mnie, kiedy byłam w szóstym miesiącu ciąży, rozstałam się z nim w walce. To znaczy, że ten film u tych osób nie tylko jakoś zarezonował, ale nie mogły być one przeciwko niemu, bo by do mnie nie podchodziły. Dostałem szybką bombę emocjonalną, ale to oznacza, że dobrze, że ten film powstał.

Czy w trakcie realizacji „Domu dobrego” miał pan gotowe sceny, które uznał za zbyt mocne i które nie weszły do filmu? Bo mogły być dla widza zanadto szokujące?
Do pewnego stopnia to się zdarzało, choć może nie chodziło o to, że to były zbyt szokujące sceny. Moja metoda realizacji polega na tym, że ja robię sceny w jednym dublu po to, żeby aktorzy wywalili emocje raz, a nie pięć razy. Wtedy ten jeden dubel jest dłuższy i potem na stole montażowym decydujemy, które fragmenty wchodzą, a które nie, by zachować płynność całości. Tylko ja miałem tę świadomość wcześniej, nie jest tak, że wpadłem na to w montażowni. Taką obrałem zasadę, tak się dogadałem z aktorami, że oni wywalą bebecchy raz, może dwa, ale nie będziemy powtarzać tego kilkanaście razy.

Jak się pracuje z młodą ekipą? Czy na planie panuje większa otwartość na pańskie sugestie, czy to raczej pan czerpie coś od młodych ludzi?
Chyba nie widzę różnicy w pracy z młodszą czy starszą ekipą, pod warunkiem że wszyscy profesjonalnie podchodzą do swoich zadań. Ja generalnie jednak w dużej mierze pracuję z ludźmi, z którymi pracowałem już wcześniej, część z nich miała może trochę inne funkcje. Znamy się więc od jakiegoś czasu, dużo ze sobą rozmawiamy. Nie oznacza to, że mamy się poklepywać po plecach, tylko po prostu sobie ufamy. Jeszcze raz podkreślę, film jest sprawą zbiorową. Jedyną zmianę jaką widzę, to ten nieciekawy fakt, że ja jestem starszy. Od młodych ludzi biorę energię, ich percepcję, postrzeganie świata. To jest dla mnie bardzo ważne, w tym zakresie zachowuję czujność. A czy ja coś im daję? Może jakieś doświadczenie, także własny punkt widzenia, przekonanie, że warto się trzymać własnej drogi. Uczciwie się ze sobą dzielimy.

Spotkał się pan z opiniami, że przemocy w pana filmach jest za dużo, że stawia pan widza pod ścianą, że pewne rzeczy powinny zostać niedopowiedziane?
Tak, ale nie można zrobić filmu dla wszystkich. Ja mam taki, a nie inny temperament filmowy, moją bazą jest realizm. Obejrzałem filmy o prze-

mocy, na przykład „Żonę policjanta”, gdzie tak naprawdę jest tylko jedna scena przemocowa i jest to świetny film. Ale ja uznałem, że to trzeba opowiedzieć na mój sposób. To dobrze, że są w kinie różne historie, różnie opowiadane filmy, widzów też mamy bardzo różnych. Każdy przepuszcza opowiadaną mu historię przez własną wrażliwość i albo w nią wchodzi, albo się odcina.

Wspomniał pan o projekcie „Słowianie”. Ma to być najdroższy film w historii polskiej kinematografii. Na jakim etapie jest ten projekt?
Szukania pieniędzy i konsultowania tekstu z historykami. Tak naprawdę nie wiadomo, gdzie był chrzest Mieszka. Czy w Gnieźnie, czy w Ostrowie Lednickim, czy w Poznaniu. Zadaję historykom bardzo praktyczne pytania. Gdzie stał warsztat tkacki, jak zbudowano most w Ostrowie Lednickim. Moją bazą jest realizm, więc muszę ten świat najbardziej wiarygodnie pokazać. Muszę wiedzieć na przykład co robili z mieczami, kiedy wchodzili do sali, gdzie było bardzo ciasno. Zakładam, że nosili miecz jak dziś krawat. Ale co się działo z tarczami, co z hełmami, gdzie była zbrojownia? Zastanawiamy się nad stanem uzębienia naszych bohaterów. Większość aktorów ma teraz szuflady tureckie, a wtedy już chyba Wikingowie śmiali się, że nie jest u nas za dobrze z zębami.

Czy jest łatwiej ze znajdowaniem funduszy, niż to było na przykład w przypadku „Wołynia”?
To jest pytanie do producentów, nie do mnie, bo ja nie jestem od funduszy. Ja się zajmuję przedstawianiem świata. A producent Wojtek Gostomczyk zajmuje się szukaniem pieniędzy. I to wszystko jest w trakcie.

Powiedział pan, że jako reżyser robi swoje. Czy to oznacza też, że krytyka w ogóle pana nie dotyka?
Po pierwszym filmie, „Weselu”, przeczytałem „Gazetę Wyborczą” i dostaliśmy tam konkretną zjebkę od dziennikarzy, których znałem. I pomyślałem sobie: po co ja mam to czytać? Jeżeli kończę film, to każdy element znam „po imieniu”. Ale jak już oddaję film widzom, to się nie cofam, nie patrzę wstecz. Nie mam mediów społecznościowych i nie czytam o sobie. Oczywiście, nie uda się nic nie wiedzieć, nie słyszeć, co ludzie mówią, ponieważ się spotykamy, rozmawiamy, każdy coś tam powie. Tylko że ja próbuję sobie to bardzo dozować.

„Słowianie”, wiadomo, duży projekt, pewnie jeszcze sporo czasu upłynie, zanim będzie go można zrobić...
O, tak.

Ale czy nosi pan w kieszeni jeszcze jakieś inne tematy?
Myszę o kameralnym filmie o miłości. Akcja dzieje się

w domu starców. I jest to opowieść o eutanazji po polsku.

W jakim zakresie, pana zdaniem, zmieniliśmy się na przestrzeni lat od „Domu złego” do „Domu dobrego”? Mocniej: Jak zmieniła się Polska? Czy nowy film jest też odpowiedzią na tę zmianę?
O Polsce nie chcę mówić tak szeroko, na pewno natomiast ewoluowało samo pojęcie przemocy domowej. W „Domu złym” mamy zagadkę kryminalną w epoce późnego Gierka i wczesnego Jaruzelskiego. Jest tam scena, w której Dziabas uderzył swoją żonę i nikt wtedy, kiedy ten film powstał, nie mówił, że to jest jakaś przemoc. Po prostu facet napił się, był zazdrosny i uderzył. A wiadomo z kontekstu, że nie pierwszy raz ją uderzył. W jakichkolwiek opiniach na temat tamtego filmu problem przemocy domowej w tym kontekście w ogóle nie był poruszany. Natomiast teraz już jest tak, że byśmy o tym mówili. To się mocno zmieniło. Jak mnie, na przykład, nauczycielka w podstawówce łała linijką czy wyzywała od debili, to jej chodziło o to, żebym ja się lepiej uczył, to były środki wychowawcze. Wiedziałem też, gdzie pasek był w domu. Ale kto by wtedy odważył się nazywać to przemocą...

A czy dla takiego twórcy, jak pan, istnieje jakieś tabu? Jest temat, którego by pan nie dotknął?

Nie wiem, co szczerze na to odpowiedzieć. Moja rzeczywistość wygląda tak, że mam w szufladzie parę projektów, dotyczących różnych trudnych tematów. Ale powstawanie filmu zajmuje dużo czasu, dlatego, że ja piszę scenariusz i z nim znajdują się pieniądze, zanim nakręcimy zdjęcia i dojdzie do postprodukcji, to mijają trzy-cztery lata. Powiedziałem już o dwóch projektach – kameralnym i wielkiej produkcji. Ale nie wiem, jakim człowiekiem będę za rok, dwa, trzy, jaki temat mnie wtedy zainteresuje, co zainspiruje do napisania kolejnego tekstu, co będzie się działo w Polsce i na świecie.

Może będziemy znowu kręcić filmy powojenne...
Oby nie.

Myślał pan chociaż raz o tym, żeby tak przewrotnie zrobić w kinie coś lekkiego?
Zawsze od tego wychodzę. Zawsze próbuję zrobić miły film o miłości, kameralny, a potem kamera pędzi nad miastem, są setki statystów, no i ktoś wyłączy światło.

Pisze pan swoje filmy mocnym charakterem pisma, sam tworzy scenariusze, wyjątkiem była „Róża”, zrealizowana według scenariusza Michała Szczębica. Czy dziś mógłby pan podjąć cudzy pomysł, pracować nad scenariuszem nie własnego autorstwa?
Myszę o tym, dlatego że pisanie zajmuje mi dużo czasu, zwłaszcza jeżeli dotykam tematu, o którym mało wiem i muszę zrobić dokumentację. Jedyńm filmem, który mnie nic nie kosztował pod względem scenariusza, była „Drogówka”. Jeździłem autem, robiłem program o policji, napisałem to bardzo szybko. Ale jeżeli wchodzę w jakąś historyczną sytuację, to opracowanie wszystkich składników jest czasochłonne. Wracając do pytania, nie wiem, ile przede mną lipców jeszcze, ale myślę, że mógłbym skrócić ten proces biorąc gotowy tekst, w którym bym pewnie coś jeszcze poprzestawiał lub podokładał. I nawet chyba zacząłem już o tym rozmawiać z różnymi ludźmi.

I teraz ma pan swoją gwiazdę na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi? Jakie z tym wiążą się emocje?
To super, że stało się to w Łodzi, to jest oczywiście miłe. Aczkolwiek to taki etap, że za chwilę pojawiają się napisy: w życiu na Ziemi udział wzięli... Jest w tym wymiar podsumowywania. Przyjechałem na uroczystość do Łodzi, której nie poznaję, otrzymałem wiele fantastycznych bodźców. To jest naprawdę fajny moment w życiu. Najzwyczajniej w świecie się cieszę.

O stolicy województwa świętokrzyskiego mówią wszyscy Dłaczego? Bo może pochwalić się jednym z najdroższych... luster w kraju. Autorem instalacji jest światowej sławy artysta Marek Cecała. Po jej odsłonięciu zawrzało

Anna Gwóźdź

NIEBO KIELC NA USTACH CAŁEJ POLSKI. NAJWIĘCEJ EMOCJI BUDZI CENA



Odsłonięcie „Nieba Kielc” na placu Najświętszej Marii Panny. Cztery metry kwadratowe lustrzanej powierzchni

Przy kieleckiej katedrze, zainstalowano dzieło światowej sławy artysty Marka Cecały. Instalacja „Niebo Kielc” w kilka chwil stała się lustrem niezgody. Jednych koszt 86 tysięcy złotych brutto szokuje, inni mówią, że sztuki nie można wyceniać. Do tego doszła polityczna wojna. A przecież, jak mówi Olga Grabiwoda, dyrektor Biura Wystaw Artystycznych, sztuka współczesna ma wywoływać emocje i dyskusje, często prezentuje też symbolikę. A ta, jeśli bywa niezrozumiała, może rodzić lęk.

Artysta jest znany na całym świecie

Marek Cecała, urodzony w Kielcach artysta, znany na całym świecie z łączenia ceramiki, wzornictwa i sztuki współczesnej, był dziekanem wydziału ceramiki w nowojorskiej Parsons School of Design i dyrektorem artystycznym Ćmielów Design Studio, stworzył minimalistyczną instalację. Cztery metry kwadratowe lustrzanej powierzchni wmontowanej w ziemię, która ma odbijać niebo i otaczającą przestrzeń.

Największe kontrowersje wzbudził koszt realizacji projektu: 86 800 złotych brutto, który wywołał w Kielcach polityczną wojnę.

Różnica zdań wśród radnych

Marcin Stępniewski, przewodniczący opozycyjnego klubu Prawa i Sprawiedliwości w Radzie Miasta Kielce, ocenia taki koszt jednoznacznie negatywnie. - Jest to bardzo zaskakujący wydatek ze strony miasta, zwłaszcza w kontekście ostatnich propozycji pani prezydent dotyczących zaciągnięcia pożyczki w wysokości 400 milionów złotych. Kwota około 90 tysięcy złotych za tego typu obiekt jest astronomiczna i budzi ogromne kontrowersje, nie tylko moje, ale i zdecydowanej większości internautów - uważa przewodniczący.

Radna Kamila Wojda-Misiuda, przewodnicząca Komisji Edukacji, Kultury i Sportu z Koalicji Obywatelskiej, ma odmienne zdanie. - W mojej prywatnej ocenie ta rzeźba jest genialna w swojej prostocie, bo łączy metafory i wieloznacznością. Pan Marek Cecała jest z tego znany, to zresztą artysta światowej klasy. Trochę dziwi mnie ta burza medialna, ponieważ artysta taki jak on mógłby znaleźć sobie niemal dowolne miejsce na świecie i zostałby przyjęty z otwartymi rękoma, a on, pomimo swojej skomplikowanej historii w tym mieście, nadal chce tu tworzyć - komentuje radna.

W Kielcach od razu wybuchła polityczna awantura między obiema stronami, podobnie jak ma to miejsce w Polsce.

Co o instalacji w Kielcach i zamieszaniu, jakie wywołała,

mówi jej twórca Marek Cecała? - Cieszę się, że instalacja wzbudziła tak duże zainteresowanie, natomiast przykre jest, że niektórzy odbiorcy nie widzą jej pozamaterialnej wartości. To sztuka, która ma wiele warstw. W sztuce działam już od wielu lat, więc jestem przyzwyczajony do różnych opinii, natomiast sztukę współczesną trzeba zrozumieć - przyznał w rozmowie z „Echem Dnia” Marek Cecała.

Ile to kosztowało?

Warto przy okazji tej trudnej do zrozumienia awantury poznać całą prawdę o instalacji.

Całkowity koszt realizacji to 86 800 złotych brutto, z czego 77 800 złotych pochodzi z grantu Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku w ramach programu „Rzeźba w przestrzeni publicznej dla Niepodległej”, finansowanego przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Miasto Kielce, poprzez Biuro Wystaw Artystycznych, dołożyło 9 tysięcy złotych brutto jako 10-procentowy wkład własny.

Jak wylicza Olga Grabiwoda, dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Kielcach, całość kwoty obejmuje między innymi opracowanie projektu, przekazanie autorskich praw majątkowych, prace przygotowawcze i rozbiórkowe, dokumentację techniczną, nadzór budowlany, wykonanie dzieła z materiałów o wysokiej odporności technicznej, w tym specjalnie hartowane szkło, transport, montaż, tablicę informacyjną ze stali nierdzewnej, nagranie i opracowanie audiodeskrypcji oraz zabezpieczenia na okres niekorzystnych warunków pogodowych.

Dagmara Rogers, która opowiadała za projekt z ramienia Biura Wystaw Artystycznych informowała też, że „Niebo Kielc” Marka Cecały był trzecim najlepiej ocenionym w Polsce. Lustro zostało umieszczone na stałe. Wymogiem projektu jest zresztą to, że instalacja w przestrzeni publicznej ma być wmontowana przez minimum pięć lat. Lokalizacja była konsultowana z konserwatorem zabytków. Biuro Wystaw Artystycznych zapewnia, że będzie dbać o czystość instalacji.

Instalacja Niebo Kielc to dwa metry na dwa lustrzanej tafli, 650 kilogramów szkła wmontowanego w płytę placu. Można po niej chodzić, zatrzymać i spojrzeć w dół.

Marcin Stępniewski kwestionuje przedstawianie kosztów tak, że miasto dopłaciło tylko 9 tysięcy.

- Przeznaczono 86 800 złotych. Takie dzielenie kwoty uważam w tym przypadku za nieuczciwe. Jeżeli pozyskujemy dofinansowanie na drogę i wkład własny miasta to 2 miliony, a dofinansowanie 8 milionów, to droga dalej kosztuje 10 milionów. Analogicznie tutaj: środki w 100 procentach po-

chodzą z pieniędzy podatników - mówi.

Zdaniem Kamili Wojdy-Misiudy, zarzuty mają podłoże polityczne. - Owszem, Kielce mają fatalną sytuację finansową, ale radni Prawa i Sprawiedliwości ze względów politycznych nie zgodzili się na konsolidację długu, tak aby miasto miało odebrać i szansę zrealizować konieczne zadania. Natomiast 9 tysięcy złotych z budżetu Biura Wystaw Artystycznych nie uratuje budżetu miasta ani nie wystarczy na realizację jakiegokolwiek zadania. Uważam, że to naprawdę niewielka suma w porównaniu do 300 tysięcy, jakie pani marszałek Renata Janik przeznaczyła w dotacji celowej na rzeźbę doktora Władysława Buszkowskiego, która powstaje. Mogła je przeznaczyć na inne cele - odpowiada.

Zdaniem Marcina Stępniewskiego ważna jest również kwestia bezpieczeństwa, bo jak mówi, szczególnie zimną powierzchnia lustra może być wyjątkowo śliska.

- Instalacja będzie specjalnie przykrywana i zabezpieczana na czas niekorzystnych warunków pogodowych, tak aby nie stwarzała zagrożenia - informuje dyrektor Biura Wystaw Artystycznych.

Przewodniczący klubu Prawa i Sprawiedliwości w Radzie Miasta Kielce dodaje, że miasto dawno nie miało takiej

promocji, niestety jego zdaniem nie jest ona pozytywna. W ostatnich dniach zasięg zdjęcia z lustrem i informacji na ten temat to dziesiątki milionów wyświetleń w różnych kanałach komunikacyjnych.

- Wszyscy wiemy, że kultura jest ludziom bezwzględnie potrzebna. To dzięki niej nasz naród przetrwał najtrudniejsze momenty historii. Bardzo dziękuję panu Markowi za to, że tu jest, bo w mojej ocenie to wyraz naprawdę głębokiego lokalnego patriotyzmu - kontruje radna Wojda-Misiuda.

- Artysta taki jak pan Marek Cecuła mógłby znaleźć sobie niemal dowolne miejsce na świecie i zostałby przyjęty z otwartymi rękoma, a on, pomimo swojej skomplikowanej historii w tym mieście, nadal chce tu tworzyć. To wyraz naprawdę głębokiego lokalnego patriotyzmu - mówi Kamila Wojda-Misiuda, radna Koalicji Obywatelskiej i przewodnicząca Komisji Edukacji, Kultury i Sportu Rady Miasta Kielce.

Olga Grabiwoda, dyrektor Biura Wystaw Artystycznych, które zamawiało instalację również odnosi się do internetowego rozgłosu wokół instalacji. - Trzeba mieć świadomość, że ten rozgłos w dużej mierze wywołała dezinformacja. Wysokie kwoty zawsze budzą emocje i przyciągają uwagę, ale sposób ich podania miał znaczenie.

Sztuka współczesna ma między innymi wywoływać emocje i dyskusję. Ta instalacja jest minimalistyczna i symboliczna, a symbolika, jeśli bywa niezrozumiała, może rodzić lęk i opór. To dzieło działa jak zwierciadło wspólnoty: w odbiciu widzimy emocje, frustracje, czasem brak zaufania - mówi.

Mnóstwo komentarzy

Instalacja budzi emocje. Od kontrowersji i żartów, po uznanie dla minimalistycznej formy i pomysłu. Jedno jest pewne: dzieło Marka Cecuły spełniło podstawowy cel sztuki w przestrzeni publicznej, przyciągnęło uwagę i uruchomiło dyskusję. Jak komentują tę sprawę osoby publiczne z Kielca i regionu.

Karol Golonka z kieleckiego Kabaretów Skeczów Męczących napisał co sądzi o całej sprawie w charakterystycznym stylu, my wygładzamy jego wpis, ze względu na niecenzuralne słowa: „Sytuacja wydaje się naprawdę kuriozalna. Ile za to miał otrzymać - dwa tysiące? Czy BWA powinno było powiedzieć: „Marek, to słaby pomysł, ludzie będą robić memy”? Emocje polityczne i tak będą duże, miasto stara się o kredyt konsolidacyjny - warto to wziąć pod uwagę. Może warto zrobić coś innego: inaczej, wyżej albo w poziomie? BramStalMar wyceniłby to na 3700”.

NAJWIĘKSZE KONTROWERSJE WZBUDZIŁ KOSZT REALIZACJI PROJEKTU: 86 800 ZŁOTYCH BRUTTO. PIENIĄDZE WYWOŁAŁY W KIELCACH POLITYCZNĄ WOJNĘ

Sprawę skomentowała także Olga Grabiwoda, dyrektor Biura Wystaw Artystycznych w Kielcach, które odpowiadało za realizację projektu Marka Cecuły: „Patrząc w „Niebo Kielc”, widzimy nie tylko niebo i katedrę, ale też nasze twarze i emocje. Instalacja niczego nie tłumaczy i niczego nie ocenia - po prostu odbija. Jest nie tylko dziełem sztuki, stała się praktyką uważności zbiorowej, momentem, w którym wspólnota miasta może zobaczyć siebie: swoje nastroje, napięcia i niepokoje”.

Radny Kielca Maciej Jakubczyk napisał: „To lustro to jest miś. Miś naszych czasów. Czy to jest największa pomyłka inwestycyjna w Kielcach? Oczywiście, że nie. Chociaż ze względu na rozmach i zasięgi na pewno będzie w top 5. Ale dlaczego o niej jest tak głośno? Bo to lustro stało się synonimem tragicznego dysponowania pieniędzmi publicznymi. Filmowym Misiem. Mówi o tym Cała Polska, bo to pienią-

dze wszystkich podatników. Teraz każdy może być artystą, a na projekty sztuki nowoczesnej wydaje się, że najłatwiej wygrać nieweryfikowalny grant. Bo to sztuka. Trochę farby na podłodze, lustro na ziemi, banan na ścianie, niewidzialne rzeźby z energii”.

Sprawę skwitował przewodniczący Rady Miasta Kielce Karol Wilczyński, członek klubu Koalicji Obywatelskiej: „Dużo mówi się o „lustrze” autorstwa Marka Cecuły przy kieleckiej katedrze. Niestety często wśród tych dyskusji znajdują się wypowiedzi - bardziej lub mniej celowo - manipulujące faktami. No to dwa fakty: Miasto Kielce nie sfinansowało tej instalacji, lecz poprzez swoją instytucję - Biuro Wystaw Artystycznych - dołożyło wkład własny: 9.000 zł. Koszt całkowity: 86 800,00 zł Kwota dofinansowania: 77 800,00 zł.

Instalacja Niebo Kielc - choć zgłoszona przez BWA - została wybrana do realizacji spośród 127 zgłoszonych prac NIE przez

polityków (jak niektórzy sugerują), ale zespół powołany przez Dyrektora Centrum Rzeźby Polskiej, zaakceptowany przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego”.

Pochodzi z Kielca

Marek Cecuła, to pochodzący z Kielca artysta, projektant. Urodził się 23 kwietnia 1944 roku. Pochodzi z polskojęzycznej. W latach 50. XX wieku wyemigrował do Izraela, gdzie uczył się ceramiki i odbył służbę wojskową. Następnie mieszkał w Brazylii i Stanach Zjednoczonych - w Nowym Jorku, skąd w latach 90. powrócił do Polski. Były dziekan wydziału ceramiki w Parsons School of Design w Nowym Jorku. Profesor w National College of Art and Design w Bergen w Norwegii oraz w Royal College of Art w Londynie. Założyciel firmy Modus Design działającej w Nowym Jorku od 1980 roku. Modus Design ma dzisiaj swoje biuro projektowe w Grocholicach koło Ćmielowa skąd prowadzi szeroką działalność w zakresie rozwoju produktu ceramicznego. W 2013 roku Cecuła został zaproszony przez Polskie Fabryki Porcelany Ćmielów i Chodzież do utworzenia nowatorskiego studia projektowego Ćmielów Design Studio, w którym obecnie jest dyrektorem artystycznym.

REKLAMA

1111342508

AKADEMIA LIPIŃSKIEGO

Kierunki studiów:

- ✓ Administracja (Studia I stopnia)
- ✓ Bezpieczeństwo wewnętrzne (Studia I i II stopnia)
- ✓ Ekonomia (Studia I i II stopnia)
- ✓ Finanse i Rachunkowość (Studia I stopnia)
- ✓ Kosmetologia (Studia I i II stopnia)
- ✓ Pielęgniarstwo (Studia I i II stopnia)
- ✓ Prawo (Jednolite studia magisterskie)
- ✓ Zarządzanie i Coaching (Studia I i II stopnia)
- ✓ Studia podyplomowe

Rekrutacja na rok akademicki 2025/2026

Studuj w Akademii Lipińskiego!

KONTAKT:



41 345 13 13



ans@lipinski.edu.pl

www.lipinski.edu.pl

– Pedagogika nie polega na narzucaniu swojej wizji artystycznej. Rolą pedagoga jest pomóc młodym pianistom w odnalezieniu własnej drogi i ośmielić ich, by byli sobą w muzyce – mówi pianistka profesor Joanna Ławrynowicz-Just, która przygotowywała trzech polskich kandydatów do Konkursu Chopinowskiego

Anita Czapryn



Prof. Joanna Ławrynowicz-Just: Nasza polska reprezentacja skupia bardzo różne osobowości pianistyczne, pochodzące z rozmaitych ośrodków, kształcone przez różnych pedagogów, o odmiennych temperamentach i wrażliwości. Z ciekawością obserwuję, jak się rozwijają

PROFESOR ŁAWRYNOWICZ- JUST: SWOBODA NA SCENIE JEST NIEZBEDNA, BY MÓC NAPRAWDĘ PRZEKONUJĄCO KREOWAĆ FRAZĘ MUZYCZNĄ

Z jakimi uczuciami ogląda Pani Konkurs Chopinowski? Świat fortepianu jest mi niezwykle bliski. Konkurs Chopinowski to dla środowiska pianistów prawdziwe święto muzyki, które odbywa się raz na pięć lat i na które wszyscy czekają z ogromnym wzruszeniem. To wyjątkowy czas; na uczelni praktycznie nie odbywają się regularne zajęcia,

ponieważ Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina, będąc współorganizatorem konkursu, udostępnia sale do ćwiczenia uczestnikom. Pedagodzy i studenci żyją konkursem. Wszyscy czekamy na każdą interpretację, z ciekawością słuchając, jak nasze dobro narodowe brzmi pod palcami pianistów reprezentujących najróżniejsze kręgi kulturowe.

W tym roku naszym dobrem narodowym są młodzi polscy pianiści; słyszeliśmy, jak grali między innymi Mateusz Dubiel, bracia Wiercińscy czy Jan Widlarz. Jak Pani odbiera ich występy? Polska ekipa jest bardzo dobrze przygotowana i złożona z ciekawych osobowości artystycznych. Warto pamiętać, że to osoby starannie wyselekcjo-

nowane; w tej edycji konkursu padł rekord liczby zgłoszeń, 640 aplikacji z całego świata. Do głównego konkursu zakwalifikowało się 85 pianistów, a więc tylko ci, którzy przeszli przez niezwykle wymagające eliminacje. Niektórzy uczestnicy to też laureaci prestiżowych konkursów pianistycznych, którzy dzięki zdobytym nagrodom uzyskali

prawo startu w Konkursie Chopinowskim z pominięciem eliminacji. Nasza polska reprezentacja skupia bardzo różne osobowości pianistyczne, pochodzące z rozmaitych ośrodków, kształcone przez różnych pedagogów, o odmiennych temperamentach i wrażliwości. Z ciekawością obserwuję, jak się rozwijają. Wielu z nich startuje w konkursie po raz

drugi, a są tacy, którzy próbują swoich sił po raz trzeci.

Eksperci zwracają uwagę na naturalność i swobodę gry u wielu pianistów. Czy takie cechy można wypracować, czy raczej trzeba je mieć w sobie od początku?

Swoboda na scenie jest niezbędna, by móc naprawdę przekonująco kreować frazę muzyczną. Oczywiście jest to efekt wielogodzinnej pracy nad warsztatem pianistycznym, ale też nad interpretacją. Ta wypracowana interpretacja później, w konkretnej chwili na scenie, ożywa i staje się niepowtarzalna. W danym dniu, o danej godzinie, właśnie taka, a nie inna. Trzeba jednak pamiętać, że warunki konkursowe są bardzo szczególne. Trudno całkowicie wyrzucić z głowy świadomość, że bierze się udział w konkursie, że jest się ocenianym i porównywanym. Idealnie byłoby, gdyby pianista mógł poczuć się jak na koncercie, myślę że tylko części uczestników rzeczywiście się to udaje.

Niektórzy komentatorzy porównują polskich pianistów do młodego Chopina. Czy to, Pani zdaniem, piękny komplement czy ryzykowne porównanie?

Uważam, że powinniśmy właśnie do tego dążyć. To, co stanowi nasze największe dziedzictwo i mówię tu o całym środowisku muzycznym w Polsce, to konieczność pielęgnowania tradycji chopinowskiej. Bo jeśli nie my, to kto ma być wierny tekstowi kompozytora i jego zasadom interpretacji? Na szczęście, mimo że od śmierci Fryderyka Chopina minęło już wiele lat, mamy ciągle jeszcze wzbogacający się o nowe odkrycia i uzupełniany materiał źródłowy: listy samego kompozytora, wspomnienia jego uczniów, przyjaciół, pamiętniki. Wiemy, jak Chopin grał i jakiej interpretacji swoich utworów oczekiwał. Mamy też dwa fundamentalne wydania jego dzieł: wydanie Paderewskiego oraz Narodowe Wydanie prof. Ekiera, opatrzone obszernym komentarzem wykonawczym. Dlatego naszym obowiązkiem, jako polskich pianistów, jest znać tę tradycję i świadomie ją pielęgnować.

Występy polskich artystów określa się też mianem powrotu do polskiej szkoły chopinowskiej. Czy Pani zdaniem taka szkoła wciąż istnieje? Czym się wyróżnia na tle pianistów z Azji czy Ameryki? Różni nas sposób myślenia o Chopinie, temperament sceniczny?

Pojęcie tak zwanych szkół pianistycznych, polskiej, niemieckiej, francuskiej czy rosyjskiej, wywodzi się z XX wieku. Dziś te granice bardzo się za-

cierają. Pianiści i pedagodzy podróżują po całym świecie, w efekcie tradycje szkół przenikają się. Ścieranie się różnych sposobów rozumienia estetyki chopinowskiej i różnych sposobów gry na instrumencie daje wspaniałe, niepowtarzalne interpretacje.

Polacy grają u siebie, a to ogromny przywilej, ale z drugiej strony też presja. Pani zdaniem łatwiej czy trudniej gra się przed własną publicznością?

Publiczność to jeden z najpiękniejszych elementów Konkursu Chopinowskiego. Potrafi reagować niezwykle żywiołowo na wykonawców, którzy ją poruszają, wzbudzają sympatię albo skłaniają do refleksji. To wspaniałe, ale dla polskich pianistów wiąże się też z ogromnym ciężarem oczekiwań. Trudna jest świadomość, że obserwuje ich oprócz publiczności, całe środowisko muzyczne. Młodzi artyści z pewnością mają to gdzieś z tyłu głowy. Dlatego tak ważne jest, by potrafili odciąć się od wszystkiego, co zewnętrzne: od mediów społecznościowych, komentarzy, opinii. To są bardzo wrażliwi ludzie, a presja dziś jest większa niż dwadzieścia lat temu. Występ konkursowy to już nie tylko gra na żywo. Oznacza transmisję internetową, radiową, telewizyjną. Interpretacje trafiają do sieci i zostają tam właściwie na zawsze. Internet jest jak bezdenna studnia, nic z niego nie znika. Świadomość, że wszystko zostaje zarejestrowane i może być wielokrotnie odtwarzane, na pewno nie pomaga. Najlepiej, jeśli artysta potrafi stworzyć sobie własny świat, skupić się tylko na muzyce, na tym, co chce przekazać, z poczuciem misji i sensu przekazu.

Jak wygląda przygotowanie młodego pianisty do Konkursu Chopinowskiego? Miejsiace, lata czy całe życie ćwiczeń?

To całe lata bardzo intensywnej pracy i to nie tylko nad repertuarem chopinowskim. Pianista nie może zamykać się w jednym obszarze. Od najmłodszych lat musi się wszechstronnie rozwijać. Przygotowanie do tak dużego konkursu oznacza opanowanie ogromnego repertuaru. Jest to też wyzwanie psychiczne i fizyczne. Konkurs trwa przecież trzy tygodnie, trzeba utrzymać świeżość

umysłu, dbać o kondycję i o zdrowie, by się nie przeziębnić i nie osłabić organizmu. To również ogromny wysiłek mentalny. Pianiści, którzy biorą udział w konkursie po raz kolejny, mają już doświadczenie. Najtrudniej jest tym młodym, którzy startują po raz pierwszy i muszą zetrknąć się z całym tym światem medialnym: wywiadami, kamerami, transmisjami online. Tego też trzeba się nauczyć. Z kolei dojrzewanie muzyczne, pogłębianie interpretacji, zrozumienie tekstu to proces, który trwa latami. Młody człowiek, oczywiście pod opieką pedagoga, ale też poprzez własne poszukiwania, uczy się rozumieć znaczenie każdego akcentu, każdej kropki czy kreski w nutach. Pomagają mu w tym lektury: listy Chopina, wspomnienia jego uczniów, książki o pianistach i dla pianistów, ale także te o ekspresji scenicznej i wszystkie, które rozwijają wrażliwość. To ogromna kopalnia wiedzy, z której artysta czerpie, by dojść do momentu, w którym może powiedzieć: „Tak, teraz jestem gotowy podzielić się swoją artystyczną prawdą”. A trzeba pamiętać, że interpretacje dojrzewają i zmieniają się przez całe życie.

Na czym polega największe wyzwanie w pracy pedagoga? Technika, interpretacja czy przygotowanie psychiczne ucznia na stres?

Każdy pedagog ma swoją własną, wypracowaną przez lata estetykę muzyczną. Najważniejsze jest jednak, by potrafił ją przekazać w taki sposób, który pomaga zrozumieć zapis chopinowski, ale nie przytłacza osobowości ucznia. Nie chodzi o to, by kształtować kopistów własnych interpretacji, tylko by wspierać rodzącą się wrażliwość artystyczną młodego pianisty. Pedagog powinien pomóc, inspirować, towarzyszyć, ale nie przeszkadzać. Największą sztuką jest pozwolić młodemu artyście, by był sobą w muzyce i miał z tego prawdziwą satysfakcję.

Czego szuka się w interpretacji Chopina? Chodzi o wierność tradycji czy o to, by pianista miał własny głos i emocje, które przenoszą się na publiczność?

Zawsze wychodzę od bardzo wnikliwej pracy z tekstem. Szczegółowo analizujemy wszystko, co jest zapisane

w nutach, każdy, nawet najdrobniejszy niuans interpretacyjny, który budzi naszą refleksję. Zastanawiamy się, czy dany zapis muzyczny rzeczywiście może być zrealizowany w taki, a nie inny sposób. Dyskutujemy o znaczeniu akcentów, o zależnościach między tonacją, tempem i fakturą utworu, o dynamice. Nawet proste określenia dynamiczne jak piano czy forte, nie są jednoznaczne. Nie używając na co dzień języka włoskiego, często je splaszczamy, robimy zbyt dosłownie: że piano to po prostu „cicho”. Tymczasem po włosku piano oznacza również „spokój” albo „płaski” jak horyzont. To słowo może mieć wiele znaczeń; w zależności od kontekstu potrafi znaczyć coś zupełnie innego; inne w walcu, inne w balladzie, jeszcze inne w nokturnie czy w etiudzie o wirtuozowskim charakterze. Zawsze staramy się więc zrozumieć oznaczenia muzyczne, ale i cały kontekst powstania utworu, myśli, które towarzyszyły kompozytorowi, okoliczności, emocje. Wszystko to analizujemy po to, by znaleźć interpretację właściwą dla konkretnego utworu, w oparciu o typ wrażliwości pianisty, ale też jego rodzaju techniki fortepianowej. Każdy pianista reaguje inaczej, ma inny sposób odczuwania, inną reaktywność końcówek palców, odmiennie słyszy. Chopinowskie bel canto, czyli poszukiwanie śpiewności na instrumencie wymaga, by fortepian, instrument perkusyjny z natury, zabrzmiał jak ludzki głos. To właśnie była najważniejsza idea Chopina. Każdy pedagog ma oczywiście swoją metodę, ale to tylko punkt wyjścia. Nigdy cel. Metoda musi być dopasowana do konkretnego człowieka, jego sposobu postrzegania świata, rozumienia muzyki. I to, moim zdaniem, jest najważniejsza cecha pedagoga: umiejętność dostosowania się do ucznia, by pomóc mu odnaleźć własną drogę.

Kiedy Pani o tym mówi, wiadać, jak głęboki wymiar ma granie Chopina. Konkurs Chopinowski bywa nazywany najtrudniejszym konkursem pianistycznym na świecie. Młodych pianistów trzeba czasem namawiać do udziału, czy marzą o tym od początku swojej muzycznej drogi?

Rzadko się zdarza, by trzeba było kogokolwiek namawiać, zwłaszcza w Polsce. Młodzi ludzie, którzy naprawdę kochają muzykę i chcą się rozwijać technicznie, często od samego początku marzą o udziale w Konkursie Chopinowskim. Oczywiście bywa, że ktoś w trakcie nauki odkrywa, że Chopin to nie jest kompozytor, w którym czuje się najlepiej. Że bliższy jest mu Schubert, Mozart, Prokofiew, inny świat

KAŻDY CZŁOWIEK, NIEZALEŻNIE OD JĘZYKA CZY TRADYCJI, CZUJE TO SAMO. I MYŚLĘ, ŻE W TYM TKWI TAJEMNICA I NAJWIĘKSZA TRUDNOŚĆ MUZYKI CHOPINA

emocji i estetyki. To całkowicie naturalne. Natomiast trudność Konkursu Chopinowskiego nie polega na ilości repertuaru, są przecież konkursy z szerszym zakresem utworów. Trudność tkwi w jego monograficzności. Granie wyłączanie Chopina przez trzy tygodnie wymaga ogromnej wrażliwości emocjonalnej i olbrzymiej ekspresji. Młody człowiek, który przez wiele miesięcy żyje w stanie takiego emocjonalnego napięcia, może się po prostu poczuć tym zmęczony. I to jest prawdziwe wyzwanie, by umieć te emocje równoważyć. Każdy pianista radzi sobie z tym inaczej: jedni sięgają po Bacha czy Mozarta, którzy oczyszczają emocje, inni medytują, uprawiają jogę, sport. Sposobów jest wiele. Jedno jednak pozostaje pewne: Chopin emocjonalnie głęboko eksploatuje.

Dziennikarze często pytają, czy młodzi pianiści potrafią jeszcze odkrywać Chopina na nowo. Czy dziś można go jeszcze reinterpretować? I czy w tegorocznym konkursie wiadać takie osobowości?

Myślę, że różnorodność interpretacji Chopina jest nieograniczona. I nie jest to wyłącznie kwestia indywidualnej wrażliwości. Ogromne znaczenie mają także okoliczności występu: pora dnia, kondycja psychofizyczna pianisty, jego nastrój. Czy danego dnia jest bardziej refleksyjny, czy pełen energii? Czy chce podzielić się z publicznością jakąś szczególną myślą? Czy to dobry czas w jego życiu, czy trudniejszy? To wszystko wpływa na interpretację. Artyści bardzo głęboko pracują ze swoją emocjonalnością, a ich wrażliwość nieustannie się rozwija. Dlatego nawet ten sam pianista nigdy nie zagra utworu dwa razy tak samo. U artystów obdarzonych silną, wielobarwną osobowością każdy występ jest nowym światem, nową opowieścią. I muszę przyznać, że w tym roku takich osobowości w Konkursie Chopinowskim jest naprawdę sporo.

Jakie emocje towarzyszą Pani, kiedy to Pani uczeń wychodzi na scenę Filharmonii Narodowej?

To jest ten moment, w którym nie mogę mu już w żaden sposób pomóc. Pojawia się więc pewne poczucie bezsilności, a zarazem konieczność zachowania spokoju. Staram się za-

chować odpowiedni dystans, by móc wysłuchać występu i ocenić go możliwie obiektywnie, choć obiektywizm w takiej chwili jest niezwykle trudny. Mam przecież w pamięci całą drogę, którą przeszliśmy razem: wiem, jak grał rok temu, pięć lat temu, w jakich okolicznościach się rozwijał. To zawsze rezultat długiego procesu, pedagogicznego i ludzkiego. Obserwuję, jak ten młody człowiek dojrzewa, jak zmienia się jego życie, jego emocjonalność. To piękny, ale i trudny moment. Zostaje sam na scenie, z którą musi sobie poradzić.

Wierzy Pani, że konkursy muzyczne to najlepsza droga do odkrycia prawdziwego talentu?

Nie. Uważam, że konkursy muzyczne są przede wszystkim wspaniałą okazją, by młody pianista w danym momencie swojego życia mógł wznieść się na wyżyny swojego talentu i umiejętności. Ogrom przygotowań, stres, praca nad sobą, nad własną mentalnością, nad opanowaniem tremy, nad doskonałaniem warsztatu i interpretacji, to wszystko czyni ten proces niepowtarzalnym. Myślę, że trudno o silniejszą motywację do rozwoju. Ale sam konkurs nie jest gwarancją sukcesu. Znam laureatów Konkursu Chopinowskiego, którzy dziś nie koncertują albo nie zrobili wielkiej kariery. I odwrotnie, są pianiści, którzy odpadli na wcześniejszych etapach, a dziś odnoszą sukcesy, są zapraszani na prestiżowe koncerty, świetnie funkcjonują w życiu artystycznym. Zwycięstwem w Konkursie Chopinowskim otwiera drzwi, daje przepustkę do intensywnego życia koncertowego, przynajmniej na kilka lat. Ale potem wszystko zależy już od artysty. Czasem bywa i tak, że laureat pierwszej nagrody po dwóch latach ma problem z wypełnieniem kalendarza koncertami. Dlatego uważam, że brak sukcesu w konkursie w żadnym razie nie zamyka drogi artystycznej.

Czy prywatnie ma Pani swoje ulubione wykonanie Chopina, takie, które jest dla Pani wzorem lub inspiracją?

Tak, mam wielu artystów, którzy pobudzają moją wyobraźnię. To zarówno współcześni pianiści, jak i ci dwudziestowieczni. Istnieją konkretne interpretacje, których nigdy nie

zapomnę, koncerty, które zapadły mi w pamięć na całe życie. Byłoby mi jednak trudno wskazać jedną jedyną, bo tych poruszających do głębi było po prostu zbyt wiele.

Podczas przygotowań zdarzają się chwile, gdy musi Pani przypominać uczniom: „Muzyka to nie rywalizacja, to wolność i piękno”?

Właściwie o rywalizacji nigdy nie rozmawiamy. Często powtarzam moim studentom słowa: „Pamiętaj, nie ścigas się z nikim, tylko z samym sobą”. Najważniejsze jest pokonywanie własnych barier i ograniczeń. Oczywiście, przy tak ogromnym repertuarze i codziennej, wielogodzinnej pracy może pojawić się rutyna. Czasem pianista zaczyna traktować muzykę zbyt technicznie, mechanicznie. Wtedy wracamy do sedna, do pytania: po co gramy? Przecież muzyka to sposób komunikacji z publicznością, język emocji i myśli zapisanych w nutach. To o tym trzeba pamiętać każdego dnia. Ćwiczenie przy fortepianie wymaga nieustannej kreatywności, a przy tak dużym nakładzie pracy to ogromne wyzwanie.

Na koniec, czym różni się Konkurs Chopinowski od innych pianistycznych konkursów na świecie?

Przed wszystkim swoją monograficznością, tym, że w całości poświęcony jest Fryderykowi Chopinowi, kompozytorowi o niezwykle bogatej emocjonalności i ogromnej głębi. Rozmawiałam kiedyś z chińską pianistką i zapytałam, skąd w Chinach tak ogromne zainteresowanie Chopinem, skoro Polska wydaje się krajem kulturowo tak odległym. Odpowiedziała mi: „Chopin jest nam bardzo bliski, bo w jego muzyce są wszystkie emocje”. A wszystkie emocje są uniwersalne. Każdy człowiek, niezależnie od języka czy tradycji, czuje to samo. I myślę, że właśnie w tym tkwi tajemnica i zarazem największa trudność muzyki Chopina.

CV



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Joanna Ławrynowicz-Just
Pianistka, prorektorka Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, kierowniczka Katedry Fortepianu UMFC.

MŁODY CZŁOWIEK POD OPIEKĄ PEDAGOGA, ALE TEŻ POPRZECZ POSZUKIWANIA, UCZY SIĘ ROZUMIEĆ ZNACZENIE KAŻDEGO AKCENTU W NUTACH

KIEDY SUTANNA PRZESTAJE PASOWAĆ DO CIAŁA

Kiedyś księża rzucali sutannę w ciszy i wielkiej tajemnicy. Dziś coraz częściej robią to publicznie, liczba odejść rośnie, a ze stanu kapłańskiego odchodzą ludzie powszechnie znani. Najnowszym przykładem jest dominikanin ojciec Wojciech Jędrzejewski.

Anna Gronczewska, Matylda Witkowska

Ojciec Wojciech Jędrzejewski był znanym w Polsce dominikaninem, dobrym kaznodzieją. Urodził się w 1968 roku. Pochodzi z Kamienia Pomorskiego, gdzie skończył technikum gastronomiczne.

- Miałem już gotowy plan na życie: najpierw praca w kuchni na promie do Szwecji, potem otwarcie dochodowej smażalni ryb nad morzem - opowiadał nam przed laty. - Jednak przed maturą zdecydowałem, że chcę być kaznodzieją.

Do zakonu dominikanów wstąpił w 1988 roku, sześć lat później przyjął święcenia kapłańskie. Przez wiele lat posługiwał w Warszawie, gdzie był duszpasterzem młodzieży. Potem wyjechał do Łodzi, został przeorem tworzącego się ośrodka dominikańskiego przy ul. Zielonej. Tu był też duszpasterzem akademickim. Był jednym z najpopularniejszych kaznodziejów działającego w Łodzi Dominikańskiego Ośrodka Kaznodziejskiego. Udzielał się w mediach katolickich. Prowadził popularny przed laty portal „Mateusz”. Współpracował z Radiem Plus, można było go posłuchać na kanale Religia.tv. Współpracował między innymi z „Tygodnikiem Powszechnym”, „Więzią”. Napisał kilka książek „Ewangeliarz dominikański” czy „Fascynujące zaproszenie”.

W telewizji internetowej Boska.tv prowadził program „Boska uczta”, gdzie gotował różne potrawy, które oceniali znani kucharze.

- Kościół podobny jest do zielonego ogórka: żeby dostrzec jego zalety, trzeba najpierw przebić się przez skórkę - tłumaczy dominikanin.

Zakon nie bierze odpowiedzialności

Dlatego informacje, które pojawiły się kilka dni temu, wywołały wielkie zaskoczenie. Zakon dominikanów wydał w sprawie ojca Wojciecha Jędrzejewskiego komunikat.

- Informuję, że ojciec Wojciech Jędrzejewski OP postanowił zwrócić się do Stolicy Apostolskiej z prośbą o zgodę na przeniesienie do stanu świeckiego i możliwość opuszczenia zakonu - napisał w nim Szymon Popławski OP, socjusz prowincjała dominikanów. - Prośba została przyjęta przez o. prowincjała do dalszego procedowania. Ojciec Wojciech Jędrzejewski podjął również decyzję o opuszczeniu klasztoru dotychczasowego zamieszkania. Przypomnę, że od 1 października 2024 r. działalność publiczną o. Wojciecha Jędrzejewskiego była zawieszona w związku prowadzonymi czynnościami kanonicznymi. Po podjęciu decyzji o wystąpieniu z zakonu i stanu duchownego oraz wyprowadzeniu się z klasztoru, zakon nie

bierze odpowiedzialności za jakiegokolwiek działania o. Wojciecha Jędrzejewskiego.

Od razu pojawiły się różne spekulacje dotyczące powodów takiej decyzji znanego dominikanina. Nie chciał się na ten temat wypowiadać Tomasz Terlikowski, popularny publicysta katolicki. Zamieścił jednak komentarz na ten temat na Facebooku.

- Szanuję też prawo do milczenia zarówno zakonu, jak i Wojciecha Jędrzejewskiego - napisał Tomasz Terlikowski. - Osobiste wybory, osobiste decyzje, jeśli nie łączą się z tuszowaniem przestępstw lub przestępstwami, powinny zostać uszanowane. Były już dominikanin może, jeśli będzie chciał, o nich opowiedzieć, a jeśli pojawią się nowe, rzucające odmienne światło na tę decyzję okoliczności, to być może powinni się do tego odnieść dominikanie. Jeśli jednak nie mamy w tej sprawie do czynienia z przestępstwem, a ze spłotem wydarzeń, może błędów, może grzechów, to dojrzałość wymaga, by pozwolić ludziom o tym milczeć. I nie, nie ma tu podobieństwa do innej medialnej sprawy, innego zakonika (...). Trudno też uciec od wrażenia, że ta - przeciętnie pierwsza, i z pewnością nie ostatnia sprawa - przypomina nam z całą mocą, że duchowni są ludźmi, że nie na nich mamy budować naszą wiarę, i że ani charyzmatyczność, ani zaan-

gażowanie, ani nawet fakt, że pomagało się wielu osobom, nie chroni przed błędami. Jeśli mamy trwać w Kościele, to wiązanie emocji z ludźmi zawsze jest skazane na porażkę. Tym zaś, którzy odchodzą - na skutek rozmaitych błędów (nie zawsze swoich), spłotów okoliczności czy zmian - trzeba (jeśli tego chcą) dyskretnie towarzyszyć, wspierać, a także pozwolić na nowe życie. Wyjątkiem jest sytuacja, w której wydarzyła się nierozliczona krzywda, gdy tuszuje się krzywdę i pozwala ją czynić nadal. To jest ten wyjątek, który sprawia, że nie wolno milczeć.

Osobista decyzja i łamanie ślubów czystości

Tymczasem po kilku dniach sam Wojciech Jędrzejewski postanowił wyjaśnić powód swej decyzji.

- Odejście z zakonu i ze stanu duchownego jest moją osobistą decyzją - napisał w oświadczeniu opublikowanym na portalu „Więzi”. - Decyzja ta wiąże się z łamaniem zakonnych ślubów czystości, do której się zobowiązałem. Przepraszam tych, których zawiodłem, i proszę o modlitwę. Katolicyzm był i pozostaje przestrzenią mojego przeżywania Boga.

Wojciech Jędrzejewski jednocześnie zaznaczył, że nie będzie już komentował tej sprawy.



Dominikanin nie jest pierwszym i pewnie ostatnim zakonikiem czy księdzem diecezjalnym, który żegna się ze stanem duchownym. Ostatnie dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego dotyczące takich spraw pochodzą z 2017 roku. Wtedy w Polsce kapłaństwo porzuciło 73 księży. Natomiast od 2000 do 2017 roku sutannę w Polsce rzucało rocznie przeciętnie 56 księży diecezjalnych.

W ostatnim czasie takich przypadków jest coraz więcej. Na przykład w wakacje 2023 roku w archidiecezji poznańskiej z kapłaństwa odeszło pięciu księży. Ówczesny metropolita poznański abp Stanisław Gądecki wystosował w tej sprawie specjalny list do księży, w którym wzywał do nawrócenia. Z kapłaństwa odchodzą też księża pracujący w archidiecezji łódzkiej, choć te sprawy nie są nagłaśniane. Od kilku lat kapłanem nie jest już na przykład były wicerektor łódzkiego seminarium. Otrzymał od papieża zwolnienie ze ślubów czystości i mógł wziąć ślub kościelny.

Jedno z pierwszych głośnych odejść w polskim Kościele wykonał jezuita Stanisław Obirek. W 2005 roku ogłosił, że po 29 latach opuszcza zakon. Jak twierdził później, narastały w nim wątpliwości dogmatyczne, ale bezpośrednią przyczyną odejścia była krytyka Jana Pawła II na łamach belgijskiego dziennika „Le Soir”, w którym porównał zmarłego właśnie polskiego papieża do... „proboszcza wiejskiej parafii”. Został za to ukarany zakazem wykładów i kontaktów z mediami, po czym wystąpił z zakonu. Jako osoba świecka Obirek jest aktywnym publicystą i naukowcem, profesorem na Uniwersytecie Warszawskim. Napisał wiele książek, w tym najbardziej znaną „Gomórę” o władzy, strachu i pieniądzu w polskim Kościele. Ożenił się.

W roku 2007 stan duchowny opuścił dominikanin Tadeusz Bartoś, który też w życiu świeckim zajął się publicystyką i pracą naukową na Uniwersytecie Ekonomicznym

**JEDNO Z PIERWSZYCH GŁOŚNYCH
ODEJŚĆ W POLSKIM KOŚCIELE
WYKONAŁ JEZUITA STANISŁAW
OBIREK. W 2005 ROKU OGŁOSIŁ, ŻE
PO 29 LATACH OPUSZCZA ZAKON**



Od 2000 do 2017 roku
sutannę w Polsce
rzuciło rocznie
przeciętnie 56 księży
diecezjalnych

FOT. PIOTR KRZYŻANOWSKI/ARCHIWUM PPG

w Krakowie. Niemal jednocześnie z nim sutannę zrzucił ks. Tomasz Węclawski, wcześniej rektor Arcybiskupiego Seminarium Duchownego w Poznaniu i dziekan Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Węclawski przyczynił się do nagłośnienia sprawy molestowania kleryków przez abp. Juliusza Paetza, przez co spotkał się z szykanami. W roku 2007 opuścił stan duchowny, a rok później dokonał apostazji. Odnalazł się w życiu pozakościelnym, na poznańskim uniwersytecie zaczął pracować jako wykładowca świecki. Opinia publiczna zapamiętała jego symboliczną zmianę nazwiska - Węclawski ożenił się i przyjął nazwisko panieńskie żony. Teraz nazywa się Tomasz Polak.

„Przestał się bać zwyczajnej miłości”

Wspieranie ofiar księży skończyło się też odejściem z Kościoła katolickiego dominikanina Marcina Mogielskiego. Zakonnik wspierał m.in. poszkodowanych przez swojego współbrata Pawła M., który ze studenckiego duszpasterstwa stworzył coś na kształt sekty, w której stosował „modlitwę nagością” i kary cielesne. Mogielski walczył o prawdę, ale nie wszystkim się ta działalność podobała. W konsekwencji dwa lata temu w Wielką Sobotę ogłosił, że od-

chodzi z Kościoła katolickiego i przechodzi do protestantów. Dziś wspiera osoby w kryzysie w nurcie radykalnego wybaczenia.

Wspieraniem psychologicznym zajął się też były przeor klasztoru dominikanów w Gdańsku Jacek Krzysztofowicz. Duchowny spędził w biało-czarnym habicie ćwierć wieku, przyciągał na swoje wieczorne msze św. tłumy wiernych, po czym 12 lat temu nagle ogłosił, że odchodzi, bo „przestał się bać zwyczajnej miłości”.

Początkiem końca jego zakonnej drogi była książka o przestrzegających absurdalnie surowych reguł mnichach z Indii. Dominikanin zrozumiał, że też żyje w podobny sposób i przestał wierzyć w sens aż takich wyrzeczeń. Zakochał się, ożenił i przeprowadził do Łodzi, gdzie pracuje jako psychoterapeuta. Wspiera rodziców dzieci autystycznych i nie udziela się publicznie.

Dziewięć lat temu wierni z Łodzi śledzili odejście innego dominikanina - ojca Adama Wyszyńskiego. Młody zakonnik prowadził duszpasterstwo akademickie, doświadczył jednak nagłych i poważnych problemów zdrowotnych, co zmieniło jego spojrzenie na zakon. Potem w programie Zbigniewa Stonogi wyznał, jak od jednego z braci miał otrzymać niedwuznaczną propozy-

cję, a przez drugiego... został uderzonym patelnią w pośladek. Zakon wydał lakoniczne oświadczenie, natomiast ojciec Wyszyński zaprzyjaźnił się z księdzem Jackiem Międlarem.

Tam, gdzie sutanna zahacza o politykę

Połączyła ich sytuacja życiowa. Należący do zgromadzenia Księża Misjonarzy św. Wincentego a Paulo Jacek Międlar zdobył wątpliwą sławę z powodu swoich wystąpień nacionalistycznych i homofobicznych. W końcu opuścił swoje zgromadzenie, ale nie zrezygnował z działalności publicznej. Brał udział w kontrowersyjnych marszach narodowców we Wrocławiu, miał też kilka procesów w związku ze swoimi wypowiedziami. Poglądów nie zmienił. Działa publiczystycznie, napisał kilka książek, w tym dzieło pt. „Moja walka o prawdę. Wyznania byłego księdza”.

Polityka nie pomogła też w karierze innego księdza - Tymoteusza Szydło. Święcenia miał w czasie, gdy jego matka była szefową rządu. Jego pierwsze odprawiane msze św. stały się wydarzeniami medialnymi, ale w młodym duchownym narastał kryzys wiary. Ostatecznie wystąpił o przeniesienie do stanu świeckiego. Wyraził przy tym żal, że stał się ofiarą poszukiwaczy sensacji, przyznając jednak, że niepotrzebnie dał się skojarzyc z jedną opcją polityczną.

To tylko kilka przykładów głośnych odejść z kapłaństwa. Ale niektórzy zrzucają sutannę w ciszy.

Odejścia i powroty

Ta historia wydarzyła się przed laty. Kazimierz był księdzem z ponad 10-letnim stażem, kiedy poznał Iwonę. Do brze się im rozmawiało, z czasem zaprosił ją do kawiarni. Ona wiedziała, że jest księdzem. Przez kilka miesięcy ukrywali swój związek. Nagle okazało się, że Iwona jest w ciąży. Na Kazimierza spadło to jak grom z jasnego nieba. Postanowił jednak nie zostawiać Iwony i ich nienarodzonego jeszcze dziecka. Odszedł z kapłaństwa. Zamieszkali razem. Na świat przyszła ich córka Kasia. Kazimierz nie widział poza nią świata. Ale nie mógł też zapomnieć o kapłaństwie. Został księdzem polskokatolickim. W tym Kościele kapłani mogą mieć żony. Odprawiał msze święte, a po nich wracał do swojej rodziny. Kasia miała 5 lat, gdy wyjechała z rodzicami na wakacje nad morze. Tu doszło do nieszcześćcia. Wystarczyła chwila nieuwagi i dziewczynkę pochłonięły fale Bałtyku.

- To moja wina, moja wina! - powtarzał Kazimierz. Nie mógł pogodzić z tym, co się

KS. ISAKOWICZ-ZALESKI ZAUWAŻAŁ, ŻE W OSTATNICH LATACH SUTANNĘ ZRZUCAJĄ NAJCZĘŚCIEJ MŁODZI KSIĘŻA MAJĄCY PO KILKA LAT KAPŁAŃSTWA

stało. Bardzo pomogli mu wtedy koledzy, z którymi uczył się w rzymskokatolickim seminarium. Kazimierz postanowił wrócić na łono Kościoła. Procedury trwały długo, ale powrócił do kapłaństwa. Nie do diecezji, w której pracował. Skierowano go do pracy na zachodzie Polski. Został tam nawet proboszczem.

Kiedy parafianka za bardzo się spodoba

Jednak każdy przypadek porzucenia kapłaństwa jest inny. Zwykle księża nie robią tego z dnia na dzień. Rozmawia z nimi biskup diecezjalny. Często zanim zdecydują się na ostateczny krok, idą na urlop. Na rok, dwa, a nawet trzy lata. Może być spowodowany problemami zdrowotnymi, ale czasem taki ksiądz potrzebuje czasu, by przemyśleć pewne sprawy. Nadchodzi kryzys powołania i musi sobie z tym poradzić.

Józef już dawno nie żyje. Pochodził z bardzo religijnej rodziny. Urodził się na Wileńszczyźnie. Był ministrantem. Codziennie biegał na msze święte. Bardzo pobożna mama nie musiała go na to namawiać. Józef zdał maturę i postanowił wstąpić do zakonu jezuitów. Mimo że wybuchła wojna, nie zrezygnował ze swoich planów. Przyjął śluby zakonne, święcenia kapłańskie. Po wojnie jako repatriant razem z mamą przyjechał do Polski. Jego Wilno było już częścią Związku Radzieckiego. Formalnie dalej był jezuitą, ale z czasem został księdzem diecezjalnym. Pracował w diecezji wrocławskiej. Kiedyś przypadkiem spotkał Krysię, dziewczynę, którą przed laty poznał w Wilnie. Zainteresował się nią, bo pięknie śpiewała, on grał na skrzypcach...Krysia mieszkała z rodzicami w Łodzi. Miała 26 lat, była kilka lat młodsza od Józefa.

- Zakochałem się w niej, w jej głosie - zwierzał się potem Józef. - Nie mogłem przestać o niej myśleć, ale też wiedziałem, że bardzo chciałem być księdzem. Kochałem też Pana Boga.

Józefa dręczyły wyrzuty sumienia. Coraz częściej jednak spotykał się z Krysią. Wiedział, że robi źle, jednak nie mógł przestać o niej myśleć. Scenariusz znów zaczął się powtarzać. Okazało się, Krysia jest w ciąży... Józef wiedział już jedno, musi odejść z kapłaństwa. Był to przełom lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Wzięli z Krysią ślub cywilny,

urodził się im syn. Kazimierz zaczął starać się w Watykanie o zwolnienie od celibatu. Takiego zwolnienia może dokonać tylko papież. Józef w końcu je uzyskał. Znów mógł przyjmować komunie świętą, a przede wszystkim wziąć ślub kościelny z Krysią. Udzielił im go w swojej prywatnej kaplicy biskup Michał Klepacz, ówczesny ordynariusz diecezji łódzkiej. Józef uczył muzyki w łódzkich szkołach, Krystyna też była nauczycielką.

- Józef codziennie przed pracą chodził do kościoła na mszę i przyjmował komunie świętą - zapewnia jego dobra znajoma. - To był naprawdę bardzo dobry człowiek. Nie wolno zapominać, że nie ma zwolnienia ze święceń kapłańskich. Są one ważne do końca życia wyświęconego kapłana. Nie może on jednak sprawować sakramentów świętych.

Józef zmarł nagle. Nie wiedział, że jego synowa jest w ciąży. Kilka miesięcy po jego śmierci na świat przyszedł Michał. Chłopiec urodził się ze zniekształconą nogą...

Sutannę zrzucają młodzi księża

Nieżyjący już ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, współzałożyciel i prezes Fundacji im. Brata Alberta twierdził, że przyczyn odejść z kapłaństwa jest wiele.

- Kiedyś zupełnie inaczej wyglądało przygotowanie do kapłaństwa - wyjaśniał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Ja studiowałem w krakowskim seminarium w latach siedemdziesiątych. Wtedy wielu kleryków odbywało służbę wojskową. Po jej odbyciu część nie wracała do seminarium. To już był jeden z elementów selekcji. Poza tym w seminarium mieszkaliśmy w spartańskich warunkach. Spaliliśmy na piętroch łóżkach. Były szykany ze strony władz, inwigilacja. Wyświęceni księża byli zaharowani.

Ks. Isakowicz-Zaleski zauważał, że w ostatnich latach sutannę zrzucają najczęściej młodzi księża mający po kilka lat kapłaństwa.

- To bardzo niepokojące - martwił się ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Pojawia się pierwszy poważny problem i odchodzą. Moim zdaniem to nie sprawa celibatu, choć na pewno dla niektórych jest on problemem. Nie są przygotowani do zderzenia z rzeczywistością. Przez sześć lat są trzymani pod kłosem. Trafiają

na parafie i stykają się z problemami. Zaczynają uczyć w szkole religii, co dziś jest bardzo trudne. Nie każdy ksiądz ma predyspozycje, by być nauczycielem. Przy pierwszych konfliktach, problemach, młody ksiądz decyduje się odejść z kapłaństwa. Gdy kończyłem seminarium, wyświęcono ponad 50 księży. Z kapłaństwa odeszło dwóch kolegów.

Jacek sutannę zrzucił w latach osiemdziesiątych. Pochodzi z Łodzi. Miał bardzo religijną mamę. Bardzo chciała, by jej syn został księdzem. Jacek miał kilkanaście lat, gdy posłała go do niższego seminarium ojców franciszkanów. Ale Jacek nie zdawał tam matury. Postanowił odejść z niższego seminarium. Do egzaminu dojrzałości przystąpił w świeckim liceum. Dalej jednak, przy wielkiej aprobachie mamy, chciał być księdzem. Wstąpił więc do paulinów, ale po jakimś czasie przeniósł się do paulistów. W końcu stwierdził, że chce być księdzem diecezjalnym. Starał się o przyjęcie do Wyższego Seminarium Duchownego diecezji łódzkiej. Ale odmówiono mu. Wtedy próbował szczęścia w seminarium częstochowskim. Tam go przyjęto. Został wyświęcony na księdza. Skierowano go do parafii znajdującej się niedaleko Piotrkowa Trybunalskiego, ale na terenie diecezji częstochowskiej. Grał pięknie na gitarze. Ludzie go polubili. Ale najbardziej spodobał się jednej z parafianek. Postanowił więc odejść z kapłaństwa. Potem w miejscowym Urzędzie Stanu Cywilnego wziął ślub cywilny. Wywołało to zgorzienie części tamtejszej społeczności. Jacek dalej chciał być jednak księdzem, więc przeszedł do Kościoła polskokatolickiego. Pracował najpierw w Polsce, dziś z rodziną mieszka w Stanach Zjednoczonych. Dalej jest księdzem polskokatolickim.

Kiedyś księża odchodzili z kapłaństwa cicho, w tajemnicy. Teraz takie decyzje bywają sprawami medialnymi. Ks. Michał Macherzyński, proboszcz w parafii pw. Matki Bożej Królowej Aniołów w Tychach-Wilkowicach podczas Bożego Ciała ogłosił, że zrzuci sutannę. Wierni przyjęli to oklaskami.

- Myślę, że te głośne odejścia są rodzajem usprawiedliwienia, pokazania, że ja jestem dobry, a Kościół zły - uważał ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. - Znam księży, którzy odeszli z kapłaństwa, nie robili z tego show, znaleźli sobie potem sensowne zajęcie. Prowadzę fundację i byli księża, zakonnicy, siostry zakonne angażują się w jej prace jako wolontariusze. Robią dalej coś dobrego, odnajdują się w innej pracy. Ale znam takich, którzy nie odnajdują się w nowej rzeczywistości.

PIOTR KĘKĘ SIARA Przygoda ze... streamingiem

Znany radomski raper Piotr „KęKę” Siara postanowił spróbować czegoś nowego. Artysta, który od lat utrzymuje się w czołówce polskiego hip-hopu, ogłosił, że rozpoczął przygodę ze streamingiem. Na platformach takich jak TikTok i Kick prowadzi transmisje na żywo, podczas których rozmawia z fanami i rozwija nową pasję. Można go znaleźć pod nazwą „PiotrKęKęSiara”. Streaming, czyli nadawanie transmisji na żywo w internecie, pozwala twórcom bezpośrednio kontaktować się z publicznością. To forma rozrywki ciesząca się coraz większą popularnością, nie tylko wśród graczy komputerowych, ale także artystów czy influencerów. Widzowie mogą w czasie rzeczywistym pisać komentarze, zadawać pytania i reagować na to, co dzieje się na ekranie, tworząc w ten sposób wirtualną społeczność wokół danego twórcy. KęKę przyznał w mediach społecznościowych, że jego przygoda ze streamingiem rozpoczęła się około miesiąc temu. Najpierw prowadził transmisje na TikToku, a ostatnio również na platformie Kick. Jak

sam zaznaczył, to dla niego zupełnie nowe doświadczenie, które dopiero poznaje. - Jak już pewnie zauważyliście jakiś miesiąc temu zacząłem przygodę ze streamingiem. Na początku tylko na TT, w ostatnich dniach także na Kick'u. Choć każdego dnia się czegoś ucze, to wszystko póki co jest raczkujące. Zarówno moje umiejętności techniczne, pomysł na kontent i samo obeznanie ze zwyczajami tam panującymi. Na szczęście nauka tego wszystkiego sprawia mi sporo frajdy. Mamy już nawet własną minispółeczność którą serdecznie pozdrawiam - napisał KęKę na swoim Facebooku. Artysta wyjaśnił również, co skłoniło go do spróbowania swoich sił w nowej formie kontaktu z odbiorcami: - Raz, że jak wyżej wspomniałem, daje mi to frajdę, to przede wszystkim jest to dla mnie wypełnienie luki która nastąpiła po czasowym wstrzymaniu pisania i grania koncertów. Lubię coś tworzyć od podstaw, widzieć progres i rezultaty działań. Jak nie robię nic to jest źle. Bardzo źle - dodał KęKę. W swoim poście artysta odniósł się także do pytania, czy streaming „wypada” raperowi. Dodał też, że nie wie jeszcze, czy streaming stanie się dla niego stałym zajęciem, czy tylko chwilową odskocznią.



ANITA NOWIŃSKA-EL KATSHA I SHERIF EL KATSHA

Ugościli prezydenta

W sobotę, 4 października, prezydent Polski Karol Nawrocki odwiedził kebaba

z uczniami miejscowej szkoły. Obiecał im to podczas rozpoczęcia roku szkolnego, że przyjedzie i zje z nimi właśnie popularnego „kebasa” - i słowa dotrzymał. Wizyta prezydenta w lokalu „Shawerma” była ogromnym zaskoczeniem. O kulisach pobytu Karola Nawrockiego rozmawialiśmy jako pierwsi z właścici-

cielką lokalu, w którym gościł. - W ogóle nie spodziewałam się, że pan prezydent się pojawi w naszym lokalu. O wszystkim wiedzieli tylko uczniowie, od których wyszła propozycja, ich rodzice i dyrekcja szkoły. To była dla nas wielka niespodzianka, ogromne zaskoczenie i również wielkie emocje - mówi

Anita Nowińska-El Katsha, właścicielka Kebab Shawerma Wolanów. Pani Anita prowadzi lokal wraz z mężem Sherifem, Egipcjaninem. Para ma dwójkę dzieci. Prezydent Nawrocki wybrał „Kebab prezydencki”, bo taką nazwę, nosi jeden ze specjalów restauracji. Chwalił, że bardzo mu smakował.



FOT. DAWID LUKASIK

STANISŁAW WRÓBEL Ćwierć wieku jest naczelnym

W środę, 1 października, minęło ćwierć wieku, odkąd Stanisław Wróbel pełni funkcję redaktora naczelnego „Echa Dnia”. To jeden z najdłuższych okresów pełnienia tej funkcji w regionalnej prasie. Redakcja zorganizowała mu niespodziankę. Był tort, szampan, odśpiewane „Sto lat”, a także piękne prezenty i wiele ciepłych słów. Szef naszej redakcji nie krył zaskoczenia i wzruszenia.



FOT. KAROL ADAMSKI/FACEBOOK

KAROL ADAMSKI Na wyprawie na Antypody

Karol Adamski, himalaista i podróżnik z Radomia, zdobywca dwóch 8-tysięczników - Mount Everest i Manaslu tym razem wyprawił się na 6-tygodniową wyprawę na Antypody. Z powodzeniem wszedł na najwyższą górę Australii (Górę Kościuszki - 2228 metrów na poziomie morza) oraz na najwyższy szczyt Australii i Oceanii (Piramidę Carstensa - 4884 m) znajdującą się na Nowej Gwinei.



FOT. POLSAT/TANIEC Z GWIAZDAMI

TOMASZ KAROLAK Z niezwykłym wyznaniem

W Tańcu z Gwiazdami bierze udział pochodzący z Radomia Tomasz Karolak. Aktor tańczy z Izabelą Skierską. W tańcu nie radzi sobie najlepiej, ale nadrabia humorem i dzięki głosom widzów przechodzi z odcinka na odcinek. Nie inaczej było w ostatnim odcinku. Przed tańcem Tomasz Karolak zaśpiewał fragment piosenki Beaty Kozidrak, a potem zwrócił się do niej: - Kocham cię Beatka!

MARTA MICHALSKA-WILK I MATEUSZ TYCZYŃSKI Na Radom Expo 2025

W piątek, 3 października ruszyło Radom Expo 2025. W hali Radomskiego Centrum Sportu prezentowało się blisko 60 firm i szkół z Radomia. Zainteresowanie było bardzo duże. Wystawę odwiedzili między innymi wiceprezydent Marta Michalska-Wilk i przewodniczący Rady Miasta Mateusz Tyczyński, którzy z zainteresowaniem oglądali niezwykłego robota.



FOT. ANNA WRÓBLEWSKA / UM RADOM

DARIA SYTA W Tańcu z Gwiazdami

W niedzielę, 5 października odbył się piąty odcinek jubileuszowej edycji Tańca z Gwiazdami. Tym razem Daria Syta pochodząca z Orońska zaprezentowała się w energicznym quickstepie. Nasza tancerka walczy o zwycięstwo z dziennikarzem i prezenterem telewizyjnym - Olkiem Sikorą. Para numer 5, bo pod takim numerem tańczą, prezentuje bardzo wysoki poziom. Za swój występ otrzymali 40 punktów!



FOT. POLSAT/TANIEC Z GWIAZDAMI



FOT. ARCHIWUM

KATARZYNA KONOPSKA

Liderem Regionu

Nagroda Lider Regionu 2025 w kategorii Integracja społeczna trafiła decyzją kapituły do Gminy Pionki. Niestety władze gminy nie mogły być obecne na gali w Radomiu, kiedy wręczano nagrody. W ostatnich dniach dyrektor Echa Dnia w Radomiu Sławomir Baćkowski odwiedził Gminę Pionki i wręczył statuetkę i dyplom wójt Gminy Pionki Katarzynie Konopskiej.

MACIEJ MIKLEWSKI

Odebrał statuetkę

Tytuł Lidera Regionu otrzymała także firma Jobspot. Jej przedstawiciele także nie mogli uczestniczyć w uroczystej gali. Wyróżnienie odebrał Maciej Miklewski, prezes Zarządu firmy w siedzibie naszej redakcji z rąk dyrektora Echa Dnia Sławomira Baćkowskiego. Radomska firma Jobspot otrzymała wyróżnienie Lidera Regionu dla biznesu w kategorii Outsourcing Procesowy.



FOT. PATRYK CHRUSIAK



FOT. JUSTYNA STECZKOWSKA/FACEBOOK

DIANA WALKIEWICZ

Ubrała Justynę Steczkowską na długą trasę koncertową

Radomska projektantka i właścicielka marki DeVu Diana Walkiewicz ubrała znaną wokalistkę Justynę Steczkowską na całą, długą trasę koncertową. - Justyna ma swoje wizje, swoje mocne zdanie, ale jest przy tym bardzo miła. Ja lubię pracować z takimi ludźmi. Wolę jak ktoś wyraźnie mówi czego chce - mówi Diana Walkiewicz. Na potrzeby najnowszej trasy koncertowej ubierała Justynę Steczkowską. Kreacje, w których pojawiła się na scenie mogą zaskakiwać. Wrażenie robi na przykład suknia wykonana z barwionych 34 tysięcy gęsiich piór.

WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

MARCELA LESZCZAK

Wylała morze łez

W zeszłym miesiącu modelka potwierdziła swoje rozstanie z Michałem Koterskim. Początkowo wydawało się, że życie singielki jej służy, ponieważ nawet napisała na Instagramie, że jeszcze „nigdy nie była szczęśliwsza niż teraz”. Tymczasem w miniony wtorek obwieściła, że nie jest u niej wcale tak kolorowo. „Cały czas udaję, jakby nic się nie wydarzyło. Ostatnie dwa dni miałam okrutnie trudne. Wczoraj wylałam morze łez i pękło mi serce. Doznałam ogromnego zawodu i rozczarowania, bo wiecie, że największy smutek potrafią sprawić najbliższe osoby... Piszę to, bo zawsze widzięcie piękne obrazy szczęśliwej mnie i życie mlekiem i miodem płynące. Tak nie jest” - napisała.

ANNA WENDZIKOWSKA

Ma inne podejście

W 2022 roku prezenterka rozstała się z „Dzień dobry TVN”, oskarżając szefostwo programu o mobbing. Wkrótce potem osoby, które miały dopuszczać się tego rodzaju zachowań, pożegnały się ze stacją. W minioną środę Wendzikowska pojawiła się w „Dzień dobry TVN” z okazji dwudziestolecia programu. Wcześniej napisała na Instagramie: „Nie mogło mnie zabraknąć w tym wspólnym świętowaniu”. Powrót prezenterki wywołał kąśliwe komentarze ze strony internautów. W odpowiedzi Wendzikowska oznajmiła: „Osoby, których działania zgłoszałam, nie pracują tam od lat, zmieniona sytuacja zasługuje na inne podejście, na tym polega istota rozwoju”.

AGNIESZKA KACZOROWSKA

Uścisnęła dłoń

W najbliższą niedzielę w ramach „Tańca z gwiazdami” uczestnicy zapraszają na parkiet bliskie im osoby, które obecnie trenują pod okiem partnerujących im tancerzy. Aktor Marcin Rogacewicz, który jest w parze z Agnieszką Kaczorowską, zaprosił do programu swą mamę. W efekcie tancerka musiała po raz pierwszy spotkać się osobiście z przyszłą teściową. Tak też się stało i kobiety przełamały lody. - To nie jest tak, że



FOT. SYLVIA DABROWA

Marina Łuczenko-Szczęśna przyznała, że największym nałogiem jej męża Wojciecha są papierosy

możesz poprzez jedno uściśnięcie dłoni powiedzieć coś drugiej osobie, ale jest bardzo sympatycznie, otwarcie i mam nadzieję, że będzie fajnie - powiedziała Kaczorowska w rozmowie z serwisem Jastrząb Post.

ERYK LUBOS

Poniosła go pycha

Popularny aktor stroni od celebryckich aktywności i niewiele zdradza ze swojego życia prywatnego. Z rozmowy z magazynem „Twój Styl” dowiedzieliśmy się jednak, że jesienią zeszłego roku spłonęło mieszkanie Lubosa. Incydent miał miejsce w okolicach premiery filmu „Diabeł”, w którym gwiazdor zagrał główną rolę. - Myślę, że gdybym nie zbudował sauny, nie byłoby pożaru. A z moim trybem życia te najprostsze rozkosze: sauna, zimna woda, morsowanie, są mi niezbędne do przetrwania. Traktowałem to mieszkanie jako sypialnię, miejsce przerzutowe do pracy. Nie budowałem tu żadnych relacji. W pewnym sensie ludzie nie byli mi potrzebni. Poniosła mnie pycha - wyznał aktor.

MARINA ŁUCZENKO-SZCZĘŚNA

Poskarżyła się

Podczas rozmowy z „Faktem” żona słynnego piłkarza przyznała, że największym nałogiem jej męża są papierosy. - O Jezu, to jest walka przez całe życie! To jest historia

na książkę. Wiesz, ile razy to było wymyślane, że jak weźmiemy ślub, to nie, jak się urodzi dziecko, jak się urodzi drugie dziecko... - mówiła rozbiawiona o postanowieniach, z których sportowiec nie potrafi się wywiązać. I dodała: - On walczył, ale nie wiem, co się musi wydarzyć, żeby on zmądrzał. Bo wiesz, nawet w karierze był taki moment łamiący, gdzie Arsene Wenger posadził go na ławce i niby nie chodziło o te papierosy, ale te papierosy były. To też pokazuje, że my nie jesteśmy idealni i nigdy nie staraliśmy się być idealni. Nigdy nie staraliśmy się umoralniać i być jakimś wielkim wzorem - podsumowała.

JULIA WIENIAWA

Poprawia koronę

Piosenkarka gościła niedawno u Kubu Wojewódzkiego. Samozwańczy „król TVN-u” chciał wiedzieć, jak 26-latką poradzi sobie ze stwierdzeniem, że „bieda to stan umysłu”. - Wiem, że to jest kontrowersyjne - powiedziała. - Ja wcale nie pochodzę z bogatej rodziny. Ale jako dziecko już wiedziałam, co mnie w życiu czeka. Nieświadomie afirmowałam to swoje życie. Zawsze wiedziałam, że na wszystko będzie mnie stać, co będę chciała. Czulałam to w trzewiach. Ale to nie wystarczy chcieć, tylko ciężko na to pracować. Mieć obrany cel i nie porównywać się do innych i robić swoje, nawet kiedy ktoś podcina ci skrzydła. Trzeba otrzeć się i poprawić koronę.

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Czas działać! Horoskop dzienny mówi, że odwaga przyniesie sukces, ale trzeba też słuchać intuicji i serca.

Ryby (19.02 - 20.03)

Zaufaj cierpliwości. Horoskop na dziś zapowiada, że twoje starania w końcu zaowocują, a harmonia wróci do codzienności.

Baran (21.03 - 19.04)

Nie bój się zmian. Horoskop dzienny na piątek mówi, że nowa znajomość lub projekt przyniosą świeżą energię.

Byk (20.04 - 20.05)

Uporządkuj emocje, zanim ruszysz dalej. Horoskop dzienny wyraźnie wróży, że dom i bliscy dadzą ci spokój, jakiego potrzebujesz.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Twoja charyzma rozbłyśnie! Horoskop na dziś radzi śmiało prezentować pomysły. Uznanie jest na wyciągnięcie ręki.

Rak (22.06 - 22.07)

Zadbaj o zdrowie i balans. Horoskop dzienny na piątek radzi perfekcjonizm odłożyć na bok. Znajdziesz dzięki temu radość w codzienności.

Lew (23.07 - 22.08)

Unikaj dzisiaj drażliwych tematów. Horoskop dzienny wyraźnie ostrzega, że podejmowanie ich może zakończyć się sporą awanturą.

Panna (23.08 - 22.09)

Zaufaj przemianie — coś się kończy, by coś lepszego mogło się zacząć. Horoskop na dziś wyraźnie podpowiada, by nie bać się prawdy.

Waga (23.09 - 22.10)

Otwórz się na podróże i nowe idee. Przygoda wzywa, a horoskop dzienny na piątek mówi, że szczęście sprzyja odważnym decyzjom.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Cierpliwość przyniesie stabilność. Horoskop dzienny to wyraźna wskazówka, by nie pospieszać losu...

Strzelec (22.11 - 21.12)

Twoje pomysły zainspirują innych ludzi. Horoskop na dziś podpowiada, by nie zrażać się krytyką, bo niezależność jest twoją siłą.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Wsluchaj się w sny i intuicję. Horoskop dzienny na piątek wyraźnie wróży, że to one wskażą ci właściwą drogę do celu i spokoju ducha.

STAINLESS STEEL

ROZWIĄZANIE: MILCZENIE JEST SKARBEM POLITYKI.

Walczymy o punkty eliminacji mistrzostw świata

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski w niedzielę zagra na wyjeździe z Litwą w szóstym meczu eliminacji MŚ 2026. Zdecydowanym faworytem rywalizacji są oczywiście Biało-Czerwoni.

Podopieczni Jana Urbana we wrześniu zaprezentowali się bardzo dobrze w wyjazdowej rywalizacji przeciwko Oranje oraz

w pojedynku na Stadionie Śląskim z Finlandią. Remis i zwycięstwo przywróciły nadzieje na awans do przyszłorocznego turnieju, który zostanie rozegrany w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Meksyku.

Teraz chyba nikt sobie nie wyobraża, że Biało-Czerwoni stracą punkty w rywalizacji z zespołem, który plasuje się dopiero na 145. miejscu w rankingu FIFA. Trzeba jednak przypomnieć, że w marcowej inauguracji eliminacji MŚ 2026 zespół

prowadzony wówczas jeszcze przez Michała Probiezja szczęśliwie wygrał na stadionie PGE Narodowy tylko 1:0 po голу Roberta Lewandowskiego w 81. minucie.

W Kownie spotkanie z pewnością do najłatwiejszych należeć nie będzie, ale trzeba sobie jasno powiedzieć. Jeśli Polacy będą mieli problemy w meczu wyjazdowym z Litwą, raczej nie mają czego szukać na przyszłorocznym mundialu w Ameryce Południowej.

W kadrze Litwy na mecz z Polską nie ma żadnego zawodnika grającego w Polsce, ale są tacy, którzy w przeszłości grali w Ekstraklasie. Znalazł się w niej między innymi pomocnik Paulius Golubickas, który wiosną spędził na wypożyczeniu w Radomiaku Radom. Może zagrać też Fedor Černych, czyli w przeszłości gwiazdor Jagiellonii Białystok. Napastnik miał też epizod w Górniku Łęczna.

Po raz ostatni reprezentacja Polski zagrała w Kownie

w marcu 2011 roku. Wtedy Biało-Czerwoni przegrali w meczu towarzyskim 0:2. W podstawowym składzie na tamto spotkanie wyszedł grający wtedy jeszcze w Borussii Dortmund Robert Lewandowski, a w drugiej połowie na placu gry pojawił się reprezentujący wówczas barwy tureckiego Sivassporu Kamil Grosicki, zmieniając Adriana Mierzejewskiego.

Transmisję z meczu Litwa - Polska będzie można oglądać

za darmo w niedzielę od godziny 20.45 na kanałach TVP1 oraz TVP Sport. Studio przedmeczowe na tej drugiej antenie rozpocznie się już o godzinie 18.45. Spotkanie prosto z trybun stadionu w Kownie skomentują Jacek Laskowski i Grzegorz Mielcarski.

Stream w internecie z meczu eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć bez opłat na stronie sport.tvp.pl oraz w aplikacji TVP Sport. ©P

Donatas Vencevicius: Jan Urban to super trener i świetny człowiek

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Donatas Vencevicius ma sporo związków z Polską. Grał w Polonii Warszawa i Górniku Łęczna, a także udzielał się w roli szkoleniowca. Rozmawiamy z nim przed meczem Polska - Litwa.

Jak oceniasz szanse Litwy w rewanżu eliminacji mistrzostw świata 2026 z Polską?

Litwie lepiej gra się z lepszymi zespołami, niedawno powalczyła z Holandią, w marcu postawiła się Polsce, urwała punkty Finlandii, pamiętamy wcześniejsze niezłe potyczki z Węgrami i Serbami. W takich meczach bazujemy na obronie i kontratakach, ale nie ma się co oszukiwać - Polska jest zdecydowanym faworytem, a o różnicy potencjałów piłkarskich nie ma nawet co wspominać. Byłem na pierwszym meczu Polski z Litwą w tych kwalifikacjach i muszę przyznać, że nie widziałem waszego gorszego występu. Pod wodzą Jana Urbana zmienił się obraz waszej reprezentacji, nowy selekcjoner dał zespołowi energię, przebudził go. Byłem kiedyś na stażu u niego w klubie i muszę przyznać, że to super trener i człowiek z silną osobowością. Jego styl bycia jest ujmujący, piłkarze pójda za nim w ogień. Już wrześniowe mecze z Holandią i Finlandią pokazały, że Polska znów obrała dobry kurs.

Świadectwem postępów litewskiej kadry jest osoba Gvidasa Gineitisa?

To pomocnik odgrywający poważną rolę w Torino - dobrym klubie, umiejący grać w piłkę. Litwa potrzebuje takich kilku, ale cieszymy się z niego bardzo i liczymy, że inni będą czynić postępy. Nasza piłka, mimo wielu problemów, szczególnie

związanych z infrastrukturą się rozwija, na pewno jednak szkoda, że żaden z klubów nie zakwalifikował się do fazy ligowej europejskich pucharów. Liczyliśmy zwłaszcza na Žalgiris Wilno. Polska to inny świat - wspaniała frekwencja na znakomitych stadionach, kapitalna otoczka wokół piłki. Miło patrzeć, jak się to u was rozwija, obecnie infrastruktury zazdrości wam wiele krajów świata.

Masz dużo związków z Polską, a czy za szczególnie uważasz, że zadebiutowałeś w reprezentacji Litwy z meczu w Ostrowcu Świętokrzyskim?

Nie zapomnę podróży autokarem przez całą noc, przybyliśmy do Ostrowca nad ranem, by zmierzyć się z silną wówczas personalnie Polską z Romanem Koseckim, Andrzejem Jusko-wiakiem, Tomaszem Wałdochem. Nie mieliśmy w tym spotkaniu nic do powiedzenia, ale cieszyłem się niesamowicie z debiutu w barwach ojczyzny, która niedługo wcześniej odzyskała niepodległość. Dla mnie występy w reprezentacji Litwy były sprawą honoru, na spotkanie z Portugalią w 2004 roku udałem się, gdy rodziła mi się córka. Selekcjoner był mi gotów dać wolne, ale żona powiedziała, że bym jechał i jej posłuchałem. Zdobyłem z karnego gola i miałem możliwość zmierzenia się z plejadą gwiazd - z Luisem Figo i Rui Costą na czele, a z ławki wszedł niezniszczalny Cristiano Ronaldo. W kadrze strzeliłem dwa gole, oba znanym golkiperom - Jensowi Martinowi Knudsenowi z Wysp Owczych, który zasłynął bronią w wełnianej czapce i tym, że przyczynił się do sensacyjnej wygranej z Austrią w 1990 roku oraz Ricardo, wicemistrzowi Europy z 2004 roku. Mecz z Polską obejrzał na żywo w Kownie. ©P

REKLAMA

0011413365

ALUPROF **selt**
by ALUPROF

PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE | PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

ALUPROF
GRAMY FAIR
z NATURA

www.aluprof.com/dom

SPORT

www.sportowy24.pl

Broń kontra Mławianka.
To będzie ciekawy mecz
z wieloma podtekstamiSylwester Szymczak
Radom

PIŁKA NOŻNA. W piątkowy wieczór szykuje się bardzo ciekawy pojedynek w ramach 11 kolejki BetClac trzeciej ligi. Broń Radom podejmie Mławiankę, z którą jeszcze do tej pory nie wygrała.

Cztery zwycięstwa w pięciu ostatnich meczach i bardzo dobra gra. W efekcie szóste miejsce w tabeli. To sprawiło, że nastroje i apetyty w Broni mocno się zmieniły. W ostatni weekend przełamała się w Nowym Dworze Mazowieckim wygrywając z tamtejszym Świtem, a do tej pory Broń nigdy tam nie wygrała. Wcześniej po raz pierwszy zwyciężyła z Lechią w Tomaszowie Mazowieckim. Zespół trenera Macieja Jarosza ma patent na przerywanie złej passy. W piątek Broń chciałaby pierwszy raz zwyciężyć z Mławianką. W sześciu dotychczasowych występach zespół z Mławy wygrywał pięć razy, a raz był remis.

Piątkowy mecz rozpocznie się o godz. 18.30. Nie brakuje ciekawostek związanych z tą potyczką. Trenerem Mławianki jest Dominik Bednarczyk, który na początku 2023 roku prowadził Broń, ale rozstał się z klubem po siedmiu miesiącach. W kadrze gości jest też Przemysław Dworzyński, który również grał w Broni.

Po drugiej stronie barykady są Hubert Derlatka i Kacper Noworyta, którzy jeszcze w poprzednim sezonie grali w Mławiance, a dziś są zawodnikami Broni.

Faworytem spotkania będzie zespół z Radomia, który na swoim koncie ma 16 punktów i notuje dobrą serię występów. Mławianka w ostatnich pięciu meczach zanotowała jedno zwycięstwo i znajduje się w strefie spadkowej. Obie drużyny zagrają w osłabieniu. Broń zagra bez pauzującego za kartki Dmitro Baszłaja. Nie zagra też kontuzjowany Michał Wrzesniewski. Z kolei goście przyjadą bez Michała Stryjewskiego, czołowego strzelca. Rzutem na taśmę Mławianka dopięła jeszcze jeden transfer. Nowym zawodnikiem został Piotr Pyrdoł. 26-letni pomocnik w ubiegłym sezonie rozegrał 18 spotkań w BetClac I lidze w Pogoni Siedlce. To były zawodnik Legii Warszawa, Wisły Płock i ŁKS Łódź.

Sponsorem tego meczu będzie firma inwestar.nl ©

W innych meczach 11 kolejki: Broń Radom - Mławianka Mława, GKS Włocławek - Świt Nowy Dwór Mazowiecki, Jagiellonia II Białystok - Warta Sieradz, KS Włocławek - Żabkowia Żabki, Legia II Warszawa - ŁKS Łódź (przełożony), Olimpia Elbląg - GKS Belchatów, Widzew II Łódź - Wisła II Płock, Wigry Suwałki - Lechia Tomaszów Mazowiecki, Znicz Biała Piska - KS CK Troszyn.



Wiosną Broń doznała u siebie wysokiej porażki 0:3 z Mławianką Mława.

PIŁKA RĘCZNA

Sobota ze szczypiornistami Lidera. W meczu 6. kolejki 1. ligi grupy C, piłkarze ręczni Lidera Radom zagrają z MKS-em Wieluń. Przeciwnicy w dotychczasowych pojedynkach zgromadzili dziewięć punktów, trzykrotnie wygrywając. Podopieczni Rafała Banaczk (na zdjęciu) nie będą faworytami, ale beniaminek nie składa broni i liczy na doping fanów. Początek gry 11 października, o godzinie 18:00.

MK



FOT. MACIEJ KWIAKOWSKI

PIŁKA RĘCZNA

Enea Orleń u siebie
Zawodnicy 1. ligowych Orleń Zawleń w sobotę zagrają u siebie z SMS-em ZPRP I Płock. Starcie piłkarzy ręcznych rozpocznie się punktualnie o godzinie 16:00.

MK

Moya Radomka gotowa do nowego sezonu Tauron Ligi

Maciej Kwiatkowski
Radom

SIATKÓWKA. W pierwszej kolejce sezonu Tauron Ligi Moya Radomka Radom w poniedziałek 13 października zagra na wyjeździe z Metalkasem Bydgoszcz. Drużyna jest gotowa

Zawodniczki Moya Radomki poprzedni sezon zakończyły na piątym miejscu w stawce 12. zespołów. Po raz ostatni podopieczne Jakuba Głuszaka na parkiecie zaprezentowały się 17 kwietnia 2025 roku, kiedy to wygrały drugi mecz z Metalkasem Bydgoszcz 3:1, i sklasyfikowana została na piątej pozycji.

Skończyły z Pałacem. Z Pałacem rozpoczną

Od tamtej pory nastąpiła półroczna przerwa, podczas której absolutnie nie było czasu na nudy.

W początkowych okresach wódatarze zajęli się transferami. Z wieloma zawodniczkami nie zostały przedłużone umowy, co oznaczało, że w Radomiu pojawią się nowe siatkarki. Tak się stało. Ostatnie w sezonie 2025/2026, który dla naszego zespołu rozpoczyna się w poniedziałek zagra osiem nowych zawodniczek.

Co ciekawe radomianki rozpoczynają od me-



FOT. MOYA RADOMKA

Kadra Moya Radomki Radom na sezon 2025/2026 rozgrywek Tauron Ligi. Na co w tym sezonie stać będzie podopieczne Jakuba Głuszaka?

czu z Pałacem czyli drużyną, z którą zakończyły zmagania.

Po skompletowaniu kadry, nastąpił okres przygotowawczy, podczas którego siatkarki rozgrywały pojedynki towarzyskie. Teraz jednak czas na walkę o punkty.

Mocny start od początku

Plan zrealizowaliśmy. Zespół został przygotowany do sezonu pod kątem fizycznym, jak i taktycznym. Tak zaplanowaliśmy ten okres przygotowawczy, żeby już od samego początku ligi być gotowym do gry i walki o punkty.

Oczekiwania są takie, że chcemy, jak najwięcej wygry-

wać meczów. Tegoroczny sezon pokaże, że będzie dużo zawirowań w tabeli, tego jestem pewien. Dużo zespołów zmieniły składy i wydaje się, że są one bardzo wyrównane. Dużo w związku z tym zależeć będzie od dyspozycji dnia. Dla nas jest to bardzo ważny sezon - podkreślił Jakub Głuszak, szkoleniowiec Moya Radomki.

Do Bydgoszczy uda się cała kadra zespołu, bowiem żadna z podopiecznych trenera Głuszaka, nie uskarża się na dolegliwości.

Początek gry 1. kolejki Tauron Ligi z udziałem Moya Radomki 13 października o godzinie 17:30.

Skład Moya Radomka Radom na sezon 2025/26:

rozgrywane: Oleksandra Mołchanowa (Ukraina), Brigitta Petrenko (Węgry); przyjmujące: Dagmara Dąbrowska, Julie Lengweiler (Szwajcaria), Agata Plaga, Weronika Szlagowska; środkowe: Kornelia Garita, Iga Marszałkiewicz, Martyna Piotrowska, Kateryna Żylińska (Ukraina); atakujące: Monika Gałkowska, Wiktoria Szumera; libero: Nikola Jęcek, Krystyna Niemcewa (Ukraina); trener: Jakub Głuszak. dyrektor: Łukasz Kruk.

©

Final przełożony ze względu na walkower!

Sylwester Szymczak
Radom

PIŁKA NOŻNA. Na boisku było 10:0 dla Energii Kozienice, ale na papierze Centrum Radom może wygrać 3:0. Wszystko przez decyzję Komisji Gier radomskiej delegatury MZPN.

W ubiegłą środę w półfinałowym meczu Pucharu Polski na szczelbu okręgu radomskiego, Centrum Radom przegrało z Energią Kozienice 0:10. Tym samym kozieniczanie

awansowali do wielkiego finału i już myślami byli przy meczu z Oskarem w Przysusze. To spotkanie zaplanowano na 15 października na godz. 17.30. Tymczasem Komisja Gier zbadała sprawę i wydawała inną decyzję.

Podjęto decyzję o walkowerze dla Centrum, ze względu na nieprzepisową przerwę zawodników Energii, którzy między jednym, a drugim meczem muszą mieć co najmniej 48 godzin odpoczynku. Kozienicki klub ma prawo do odwołania, stąd uznaliśmy, że finał musi

być przesunięty - mówi Kamil Witkowski, szef radomskiej delegatury MZPN.

O co chodzi? Według Komisji Gier trzech zawodników Energii zagrało w niedzielę w meczu klasy A w rezerwach, a już we wtorek wystąpili oni w meczu pucharowym. Na tej podstawie zweryfikowano wynik na 3:0 dla Centrum.

Kozienicki klub nie zgadza się z tą decyzją i zamierza się od niej odwoływać. Ma swoje argumenty.

„Puchar Polski nie jest rozgrywką o mistrzostwo klasy

rozgrywkowej – to odrębne zawody o charakterze pucharowym, eliminacyjnym. Zastosowanie tego przepisu do meczu Pucharu Polski jest więc błędne formalnie i logicznie” - uważają w Energii.

Jak się skończy spór, tego na razie nie wiemy. Faktem jest, że finał Pucharu Polski się nie odbędzie.

„O kolejnych decyzjach i dacie meczu finałowego będziemy informować na bieżąco” - czytamy w komunikacie związku.

©